№ 10 Warszawa, dnia 27 Lutego (11 Marca) 1882 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Z końcem kwartału przypominamy ponowienie prenumeraty na czas dalszy, a co najlepiej uskuteczniać za pośrednictwem samej Redakcyi.

Cena prenumeraty na **Tygodnik Mód i Powieści** wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . .	**rs. 2 kop. 50**
Półrocznie . . .	**rs. 5**
Rocznie	**rs. 10**

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie	**rs. 1 k. 25.**
Półrocznie	**rs. 2 k. 50.**
Rocznie	**rs. 5.**

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. 3.

NA MORZU.

NOWELLA

Jana Zacharyasiewicza.

I.

Na wzgórzu biały dworek, ocieniony staremi lipami. Niegdyś białe dzisiaj mchem obrosłe sztachety otaczają ogród z widoczną tradycyą angielszczyzny. Przez bramę wiszącą na jednym haku, wjeżdża dorożka zakurzona. Na odgłos turkotu wychodzi z sieni stary służący w czerwonej kamizelce i w bluzie płóciennej. Popatrzywszy chwilę na dziedziniec, machnął ręką, cofnął się do sieni, a obmacawszy starannie przygładzoną łysinę, otworzył drzwi na prawo.

Drzwi te prowadzą do pokoju obitego niegdyś błękitnemi tapetami. Dzisiaj czas poczynił na nich różne zmiany, tak w rysunku jak i w kolorze. Meble przed pół wiekiem drogie i modne, stoją dzisiaj z wyrazem niezadowolenia i pogardy dla młodego pokolenia, podobne do starej kobiety, która za młodu lubiła świetnieć na balach i zabawach.

Na kozetce, świeższą materyą obitej, siedzi właśnie jedna z rówieśniczek owych cennych rzeczy. Ciemna oliwkowa *robe de princesse* otacza jej pełne kształty, takiegoż koloru bucik wychyla się nieśmiało z pod fałdów spadających na dywan o wzorach perskich. Rękawiczki z obciętemi palcami służą drobnym rączkom więcej za ochronę od powietrza. Twarz okryta poczynającemi się zmarszczkami, którym jednak wytoczono śmiertelną walkę kosmetykami wziętemi z inseratów rozmaitych dzienników.

Dama czyta właśnie jakąś książkę, gdy stary służący zjawił się na progu.

— Cóż tam znowu? — zapytała dama.

Sługa poskrobał się w głowę.

— A cóżby było — odpowiedział — nic nowego nie ma i nie było! Zawsze jedno i to samo.

— Jakże mnie nudzisz!

— Ten sam komornik, jaśnie pani, co był przed tygodniem. Czy mam go puścić?

Dama skrzywiła się i odłożyła książkę.

— A jużci puścić, kiedy przyjechał.

Za chwilę nizki mężczyzna w czarnem ubraniu, z głową kędzierzawą i oczami nieco zyzem patrzącemi, wszedł do pokoju.

— Wielmożna pani...

— Chętnie widzę pana jako gościa... ale te interesa... sprawiają mi spazmy! Doprawdy, pan będziesz winien, jeżeli jeszcze tego roku pojadę do Boulogne sur mer, jak to mi zawsze mój lekarz zaleca.

Czarny gość uśmiechnął się słodko, dobywając z zanadrza sporego pliku papierów.

— Nie moja wina, jeżeli interesa czepiają się zawsze mego surduta, jak pierze aksamitnej żydowskiej szabasówki. Ale taki to już los nasz! Właśnie przysyła bank ostatnie upomnienie...

— Niech pan mnie raczy oszczędzać dzisiaj, bo mam właśnie nieznośną migrenę. A gdyby nawet i migreny nie było, to moja głowa cóż panu poradzi? Przecież panowie uczycie się tego, jak złemu zaradzić, i my chętnie za to płacimy. Znasz pan nasze interesa, to jest *activa* i *passiva*, jak się tam wyrażacie, a ja zostawiam panu zupełne pełnomocnictwo, zkąd wziąć, a gdzie dać. Teraz zaś siadaj pan i powiedz, co tam nowego słychać?

Prawny doradzca pani Izabelli schował plik papierów napowrót w zanadrze, a sam usiadł na ongi karmazynowym fotelu. Potarł kędzierzawą gło-

wę i spojrzał jak mógł najmniej zyzem na panią domu.

— Nowin... jest wiele — zaczął z należytą rewerencyą — ale nie wiem, które z nich więcej będą miały interesu dla pani?

— Zaczynaj pan z góry.

— Państwo X. wyjeżdżają na jesień do Ostendy...

— Co za głupstwo! Któż kiedy z nich o morskich wodach co wiedział!... Zresztą zdaje mi się, że interesa ich nie są tego rodzaju...

— Prawda, prawda... podatki niepłacone od trzech lat... banki na karku!

— A cóż więcej?

— Państwo Y. zaciągają pożyczkę w Towarzystwie kredytowem...

— Zrujnują się! Te banki, to łapki na nas!...

— Prawda, jeżeli nie w celach amelioracyjnych...

— A nie słyszałeś pan co o panu Adolfie?

— O panu Adolfie? — powtórzył prawny doradzca z pewną chmurką na czole, oglądając starannie swoje paznokcie.

Nastąpiła mała pauza. Doradzca prawny patrzał badawczo w twarz pani Izabelli, która z niemniejszą uwagą śledziła nieprawidłowe obroty jego oczu.

— O panu Adolfie — ciągnął powoli doradzca — nie ma dobrych wiadomości.

Pani Izabella z wyrazem współczucia i niepokoju pochyliła się ku mówiącemu.

— Niedobre wiadomości, powiadasz pan? Czy nie chory? Czy nie wydarzyło mu się jakie nieszczęście? Może spadł z konia? Ach on tak szalenie lubi jazdę konną, jak drugi Farys! Nic dziwnego, jego stryj, hrabia Izydor, zginął na wyścigach konnych z przeszkodami!... Konie — *c'est une passion très distinguée* — ale ma pewne granice, po za któremi staje się szaleństwem!

— Muszę panią uspokoić — ozwał się — panu Adolfowi nie zagraża wcale tak tragiczne niebezpieczeństwo, jakiem jest naprzykład zwichnięcie kręgów w kości pacierzowej... przeciwnie, to, co go spotyka, może on nazwać szczęściem swojem.

— Szczęściem? Cóż tam znowu?

— Pan Adolf... żeni się...

Nieprzyjemne uczucie przemknęło po twarzy pani Izabelli, oparła plecy o kozetkę i przybrała wyraz obojętny.

— Zastraszyłeś mnie pan — cedziła zwolna — dziwnym wstępem swoim. Myślałam, że jakie nieszczęście spotkało go.

— To może być także nieszczęściem.

— Nieszczęściem? nie rozumiem.

— Pana Adolfa w naszych interesach kładłem zawsze do rubryki *actiwów*!

Roześmiała się konwencyonalnym uśmiechem pani Izabella.

— Rozumiem, co pan chcesz przez to powiedzieć. Doszła do pana jedna z owych plotek parafialnych, którémi próżniacy lubią się bawić. Ręczę panu, że ani ja ani Adela nie myślałyśmy nigdy o panu Adolfie. Wprawdzie jest to człowiek *comme il faut*, lubiłyśmy z nim rozmawiać, muzykalna Adela śpiewała z nim duety lub rozwiązywała dowcipne jego szarady, ale po za tem żadnych intencyi nie było.

I zacisnęła usta, jakby w tej chwili migrena jej dokuczała. Prawnik potarł ręką po kędzierzawych włosach.

— Być może, żem się omylił — odparł spokojnie — ale ta pomyłka wchodziła w moją rachubę.

— Zapomniałeś pan tylko, że rachuby arytmetyczne różnią się zupełnie od rachub fantazyi młodej kobiety, i że ta fantazya nie mniej do *actiwów* jej życia należy.

Prawnik skłonił się grzecznie na znak uległości swojej.

— Po tych wiadomostkach powiatowych — rzekła po chwili pani Izabella — może pan zechce wypocząć. Do obiadu jeszcze godzina, a my zmienimy tymczasem naszą ranną tualetę. Stefan zaprowa dzi pana do pokoju gościnnego.

Rzekłszy to, pociągnęła za dzwonek, skłoniła się wdzięcznie gościowi i lekkim krokiem wyszła z buduaru. Prawnik patrzał za odchodzącą czas niejaki z uśmiechem pewnej ironii, a w oczach jego migotało jakieś inne, nieokreślone bliżej uczucie.

Stary Stefan pojawił się na progu.

II.

Wyszedłszy z buduaru szybkim krokiem przeszła pani Izabella długi wązki korytarzyk i otworzyła drzwi, które prostotą swoją odbijały od drzwi innych komnat dworskich. Pokoik, do którego teraz weszła, z większą jeszcze prostotą przedstawiał różne akcesorya życia ludzkiego. Na prostej podłodze stały z patryarchalną swobodą olbrzymie sagany mleka, a pomiędzy niemi tu i owdzie w glinianych garnkach masło z misterną na wierzchu rzeźbą.

Przy jednym z mlekodajnych saganów klęczała kobieta już niemłoda i dużą warzęchą wodziła zwolna po białej powierzchni. Przyciskała ją z pewnym artyzmem, aby z sinego już mleka wydusić jeszcze nieco śmietanki. Twarz jej stosownie do tej operacyi, przybierała różne wyrazy, stosownie do tego, czy na warzęchę nabrała się żółta powłoka, czy też sine wtargnęło mleczko. Była tą operacyą tak zajęta, że wchodzącej bynajmniej nie spostrzegła.

— Klociu — zawołała pani Izabella nieco gniewnie — jakaś ty szczęśliwa! Robisz masło i sery, jakby już nic do życia nie było potrzebne.

Osoba zagadnięta o sześćdziesięciu może już wiosnach, nie przerwała swego zatrudnienia.

— Wszak ty lepszą część obrałaś! — odrzekła, wpatrując się smutno w siną barwę mleka.

— Rzuć te sagany — mam wielką nowinę.

— Czy przyjechał pan Władysław?

— Ach ty Kłociu nie możesz dać sobie rady ze swoim Władysławem!... Pan Adolf...

— Zapewne zgrał się w karty!

— Powinnaś była urodzić się bocianem...

— Byłabym chętnie wyłowiła wszystkie żaby, które się w sztucznym waszym stawie zagnieździły i mnie spać nie dają.

— Pan Adolf... żeni się!

Na te słowa wyprostowała się mleczna gospodyni i ze spuszczoną ku ziemi warzęchą spojrzała na mówiącą. Teraz dopiero można było poznać, że obie damy były — siostrami. Jeden wzrost i jedne prawie rysy zdradzały to pokrewieństwo; jedna tylko była dobrej tuszy, kształtów okrągłych i starannie wydelikaconych; druga była chuda a wyprężone muszkuły okazywały skrzętną pracownicę. I w ubiorze przebijała się ta sama różnica sióstr do innych zawodów powołanych. Pani Izabella, która „lepszą część wybrała", miała włosy starannie utrefione i suknię ostatniej mody. Postać jej udatna i ruchy estetycznie swobodne zdradzały damę salonową, podczas gdy perkalowy szlafroczek i biały czepiec siostry mógł oznaczać szafarkę lub niższego rodzaju jeszcze gosposię.

Różne więc były zawody dwóch sióstr, lecz żaden z nich nie zaprowadził ich, jak widać, do sakramentalnego stanu małżeństwa. Służba białego dworku nazywała je dotąd pannami, dodając czasem z uszanowaniem wyraz: ciocia, który to wyraz najczęściej się powtarzał, jeżeli trzeba było odpowiadać na zapytanie prawdziwej białego dworku dziedziczki, panny Adeli.

Ciocia Klotylda stała czas niejakiś przed ciocią Izabellą w głębokiem milczeniu. Jakkolwiek z początku zdawało się, że pana Adolfa lekceważy, ważna jednak nowina o jego matrymonialnych zamiarach przywróciła mu w jej oczach całą godność i powagę.

— Żeni się powiadasz? — rzekła po niejakiej chwili; prawda, nowina nielada, chociaż dawno mówiłam, że te przejażdżki konne z hrabianką Anielą taki koniec wezmą!

— Doprawdy nie wiem, jak to Adeli powiedzieć!

— Nieraz na to ją przygotowywałam.

— Cóż w takim razie robić?

— Pan Władysław...

Ciocia Izabella skrzywiła się.

— *Au pis aller...*

W tej chwili zaturkotała bryczka przed gankiem a za chwilę stary Stefan w czerwonej kamizelce a płóciennej bluzie pojawił się na progu mleczarni z przygłaskaną starannie łysiną i zawołał:

— Pan Władysław!

Stary miał teraz na twarzy jakiś lepszy wyraz niżeli przed chwilą, gdy prawnika zapowiadał.

Nieokreślony zato wyraz miały na twarzach swoich obie siostry. Czas niejaki patrzały w milczeniu na siebie. Żadna z nich nie chciała pierwsza wyjawić swoich myśli. Wreszcie ozwała się pani Izabella:

— Powiedźćie, że panie ubierają się do obiadu, a tymczasem prosić gościa do salonu, na werandę lub do ogrodu.

Po tych słowach wybiegła pani Izabella z mleczarni. Ciocia Klotylda chciała zrazu to samo uczynić, ale ujrzawszy niedaleko drzwi stojący sagan z niezbieranem jeszcze mlekiem, patrzała z pewną lubością czas niejaki na żółtą tarczę jego a uległszy pokusie, wzięła napowrót porzuconą warzęchę i zabrała się do ulubionego swego dzieła.

III

Podczas gdy stary Stefan nowego gościa na werandę zaprowadził i tamże uznał za stosowne przeprowadzić z nim półgodzinną rozmówkę, biegła ciocia Izabella szparkim krokiem przez ten sam korytarzyk długi i wązki, i otworzyła tym razem drzwi okazałe przez które weszła do pokoju z wykwintnym komfortem urządzonego. Ciemnym aksamitem pokryte meble rozrzucone były w nieładzie, fortepian palisandrowy stał w miejscu, które nie było właściwem jego stanowiskiem, do niego przytulał się mały stoliczek z paletą i farbami a opodal na sztelugach widać było malowidło, przedstawiające morze, skały i niebo. Na innych sprzętach rozrzucone były książki i pisma a na biurku z rzeźbami *roccoco*, rzuciła jakaś młoda ręka ćwiartki różowego papieru, przypominające z oddalenia różę stulistną.

Przy tem biurku siedziała młoda dama o ja-

snych włosach w bluzie z różowej tkaniny. Zaciśnięty w biodra pasek uwydatniał piękne jej kształty, które przebijały się przez szerokie fałdy uroczo i wdzięcznie, jak się przebijają podwodne skały na lśniącej powierzchni falującej wody. Twarz jej była ożywiona, około pięknych usteczek igrał lekki uśmiech jak światło zorzy, gdy białe chmurki ozłoci. Cała atmosfera tego pokoju miała woń kwiatów wiosennych, które tutaj kwitły i przekwitły po nad jasną główką pięknej dzieciczki po raz dwudziesty... jeżeli wierzyć rachubie... czwarty i piąty...

Po tej małej niedyskrecyi zbliżymy się do różowej Rusałki. Trzyma ona ćwiartkę różowego papieru w różowych paluszkach z drukowaną dewizą: *un petit mot*. Przechyla główkę, uśmiecha się i kładzie papier na bok. Na drugiej ćwiartce widnieje dewiza: *souvenir*. Ta w okamgnieniu chowa się za pierwszą. Następuje: *toujours ayitée et jamais abattue*. Nad tem nieco dłużej zamyśla się.

— Adelo — ozwał się w tej chwili głos cioci Izabelli — pan Władysław przyjechał!

Adela ani na chwilę nie odwróciła oczu od ostatniej dewizy.

— Może przez godzinkę ze starym Stefanem się zabawiać. Wszak on tak lubi gawędzić z lokajem!

— Co gorsza, przyjechał znowu adwokat.

— To już wyłączny departament cioci! Wiesz ciocia, że prozy nie znoszę.

— A najgorsze... tego już wymówić nie mogę.

Duże szafirowe oczy Adeli oderwały się od różowego papieru i spoczęły z pewnym niepokojem na rzęsistych brwiach pani Izabelli.

— I to już jest dla mnie zagadką — odrzekła z dziecięcym prawie uśmiechem, a duże źwierciadło z naprzeciwka oddało z nieokreślonym urokiem piękne dołki, które się na jej twarzy w tej chwili ukazały.

— Pan Adolf żeni się!

Dołki i uśmiech znikły nagle z różowej twarzy blądynki a białe paluszki przesunęły się machinalnie kilka razy po czole i skroniach.

Kilka chwil trwało milczenie. Nagle wyprostowała się pochylona dotąd jej kibić, piękna główka usunęła się w tył a na ustach uśmiechniętych dotąd tak słodko, pojawił się nagle wyraz pewnej stateczności.

— Nie wiem doprawdy — ozwała się Adela z zimnym uśmiechem — co z tego potrójnego złego, ciocia najgorszem nazywa. Że adwokat przyjechał, nie jest to bardzo zabawne, że pan Władysław z wizytą przybył, może to najwięcej zaniepokoić starego indyka, zdecydowanego jego nieprzyjaciela, ale dlaczego aspiracye matrymonialne pana Adolfa mogłyby być najgorszem z tego wszystkiego, tego już nie pojmuję. Jest to przecież bardzo naturalną rzeczą, jeźli młody mężczyzna żeni się!

— Nie pytasz, z kim?

— Zapewne z tą, która mu się podobała z urodzenia i majątku.

— Z tej przyprawy ironicznej mogłabym wnosić, że ta nowina nie jest dla ciebie obojętną.

Roześmiała się przeciągle Adela.

Śmiech jej przeszedł całą gamę tonów z góry na dół i odwrotnie. Po chwili podniosła się z fotelu i przeszła kilka kroków po dywanie.

— Zabawną jesteś ciociu — ozwała się wśród śmiechu — jak można było podejrzywać mnie o coś podobnego! Lubię towarzystwo dystyngowane, bawię się chętnie z ludźmi, którzy o czemś więcej niżeli o plotkach parafialnych mówić umieją, ale nie jestem znowu podobną do owego pajączka, który do chwiejącego się listka siatkę swoją chce nawiązać!

— Wszystko to dobre i piękne... ale przyznam ci się Adelo, że ja byłam tak nieroztropną, jak ów pajączek, i marzenia moje względem ciebie...

— Dziękuję cioci za troskliwość i żałuję bardzo, że w tej chwili nie cierpię razem z ciocią dobrodziejką!

— Żart na bok... ale ten prawnik!... ta niespodziewana nowina... a zarazem ten pan Władysław!...

— To istne figury dramatu albo sielanki swojskiej...

— Nie żartuj Adelo, bo sytuacya nie jest bynajmniej sielankowa.

Adela zatrzymała się nagle w swojej przechadzce po dywanie.

— Słusznie powiadasz ciociu — ozwała się — że sytuacya nasza nie jest sielankowa i przyznam się, że przy pierwszych słowach o postanowieniu pana Adolfa, stanęła mi ta sytuacya niebardzo ponętnie przed oczyma. Temu jednak pan Adolf nie winien, ale winne są nasze stosunki towarzyskie. Obracamy się w ciasnem kółku jednych i tych samych sąsiadów. Jeden dzień podobny do drugiego, koncepta księdza proboszcza poczynają się już straszliwie powtarzać, a rozprawy poczciwego pana Władysława o siejbie i kośbie, podobne są zupełnie do owej słodkawej mikstury, która może wywołać straszliwą chorobę, jeżeli ją co godzina po łyżeczce od kawy zażywać trzeba. Nic dziwnego, że w takiem otoczeniu mija bez zmian, choćby tylko w młodej wyobraźni, wiosna za wiosną, a gdy się ich już dwadzieścia z górą naliczy, to trudno wtedy bez pewnej ironii mówić o szczęściu drugich, którzy już do upragnionego portu zdążają!...

— Teraz rozumiem cię — ale jakaż na to rada?

— Prosta rada — rozszerzyć sobie ciasny horyzont i wpłynąć na szerszą falę życia. Tutaj skwaszę się i zapleśnieję... trzeba koniecznie gdzieś wyjechać.

— Nieraz o tem myślałam... ale położenie nasze materyalne...

— Ubodzy stawiają nieraz ostatni grosz na loteryą, dlaczegóżby my...

— Pan Władysław...

— Pan Władysław nie pospieszy się tak prędko jeżeli ciocia do tego taką wagę przywiązuje. A być może, że zmiana położenia rozrusza go troche więcej i wyrzuci go z tej wygodnej kolei dotychczasowego jego konkurowania, podczas którego więcej z proboszczem i Stefanem niżeli ze mną rozmawia! Nie jestem fantastką, jak mnie zawsze ciocia Klocia nazywa, ale dziewica raz tylko przystępuje do ślubu, i nic dziwnego, jeżeli chce, aby ta chwila była zenitem jej szczęścia, aby nietylko jej serce ale także i wszystkie drobne uboczne słabostki kobiece zadowoliła. Ona chce, aby choć na chwilę szeroko o niej mówiono, aby ją podziwiano, aby jej tego szczęścia zazdroszczono! Potem niechaj wszyscy o niej zapomną, ale przedtem zapomnieniem musi być rozgłośną bohaterką, *héroine du jour*!

Pani Izabella z uwagą słuchała pięknej siostrzeniczki, której twarz kraśniała teraz niezwykłemi wdziękami.

— Mówię prawdę — ciągnęła dalej Adela — mówię otwarcie i śmiało to, z czem moje rówieśniczki często się kryją! Niechby zresztą i pan Władysław godniejszą mnie rolę odegrał... niechby nawet pan Michał czy pan Szymon... są rzeczy, wypadki i sytuacye, które jakoś inaczej na serce kobiece działają, niżeli owo monotonne dudnienie bryczki konkurenta, która jak febra zjawia się co drugi dzień przed nami!... Pojedziemy do Włoch... pojedziemy lądem i morzem... do Wenecyi, Rzymu, Neapolu!...

W tej chwili stary Stefan stanął na progu.

— Obiad gotowy — zawołał głosem, którego przez lat czterdzieści nie zmienił. — Czy dawać?

— Dla Boga, ja jeszcze nieubrana! — krzyknęła pani Izabella, i wybiegła z pokoju.

Adela nie przebierała się wcale. Stanęła przed źwierciadłem i postanowiła pozostać w tej różowej malowniczej bluzce, przypominającej tuniki na posągach greckich. Tylko zwoje złotych włosów zarzuciła na uszy i wetknęła do nich skromną gałązkę heliotropu.

Tak wyszła do gości, aby ich do pojawienia się jednej i drugiej cioci zabawiać.

(D. c. n.)

DO DZIEWCZKI.

WIESZ O TEM!

Że widzą w tobie przymiotów krocie,
Wiesz o tem... więc nie bądź dumną,
Bóg złączył piękno w twojej istocie,
Wiesz o tem... bądź więc rozumną!

Uśmiech — to odblask niebiańskiej zorzy,
Wiesz o tem... bądź więc pogodną...
Słodycz—i w troskach nadzieję stworzy,
Wiesz o tem... więc bądź łagodną!

Cierpliwość — wielką niewiast zaletą,
Wiesz o tem... bądź pobłażliwą!...
Z tylu cnotami — jesteś kobietą,
Wiesz o tem... będziesz szczęśliwą!

Wiara — cnót owych wielkich... macierzą,
Wiesz o tem... więc bądź pobożną...
Pokusa — wąbi tych co nie wierzą,
Wiesz o tem... bądź więc ostrożną!

Spokój sumienia — życia koroną,
Wiesz o tem... żyj z nim w jedności...
Z takim zasobem — polską matroną,
Będziesz do późnej starości.

Kazimierz Niemierowski.

Z PAMIĘTNIKÓW
Leandra Szyszeczki-Walskiego.

Spisane przez

Lodomira Szczerbowicza Wieczora.

(Dalszy ciąg.)

Wszelako nietylko w zabawach naszych brał udział Ławrynowicz; owszem naukę i pouczające rozmowy miał zawsze na pierwszym planie. Młodszym dzieciom objaśniał i tłomaczył wszystko, co znajdowało się w pokoju, w podwórzu, „na gumnie”, w ogrodzie, we wsi i na polach — była to

jak powiedziałem, żywa nauka poglądowa o rzeczach, przystępnie i zajmująco opowiadana.

Odpowiadał na zapytania, ale często mówił niepytany, zmuszając zarazem do stawiania pytań. Szczególniej podziwialiśmy mądrość Ławrynowicza, gdy poszedłszy z nami do ogrodu, tłomaczył nam i opisywał rozmaite gatunki drzew i owoców, ziół, kwiatów i żyjątek, począwszy od nagiego ślimaka, do którego przemawiał: „ślimak, ślimak, wystaw rogi, dam ci szeląg na pirogi", od pospolitego białego kwiatka, z którego, przy nawoływaniu: „ciu, ciu, ciu, pan jedzie!" wychodziły roje małych muszek, od skroplonego na drzewach wiśniowych „kleju wiśniowego", który Malwinka lubiła zjadać. Cały porządek życia wiejskiego i zajęć tłomaczył nam Ławrynowicz, dbając o to, ażebyśmy dokładnie pojęli i zrozumieli to wszystko, co nas otaczało, zastanawiając się i nie pozostawiając nic bez uwagi. Starszym prawił już rzeczy ważniejsze, ale zawsze należące do nauki poglądowej, gdyż z okien dworku naszego było widać biały kościołek klecki i pole bitwy z Tatarami, a dalej — „przysady" czyli aleję, prowadzącą do Nieświeża...

Imiona Glińskiego, Aleksandra Jagiellończyka i Radziwiłłów, znane nam były prawie od kolebki, a gdyśmy słuchali opowiadań Ławrynowicza, który nawet przytem niekiedy się zapalał, we wrażliwych umysłach naszych dziecinnych powstawały cienie wielkich mężów przeszłości, odczuwaliśmy echo dawno minionych dni sławy i bohaterstwa. Raz czy dwa razy, pamiętam, Ławrynowicz był z nami w Nieświeżu, w czasie jarmarku świętojańskiego, pokazywał zamek i farę pojezuicką z jej nagrobkami i pamiątkami; ile przy tem wiadomości, pojęć i uczuć wpoił w umysły i serca nasze swemi chciwie słuchanemi opowiadaniami — łatwo się domyślić.

Młodsze z dzieci, zanim dostały „guwernera", czytać i pisać uczył nie kto inny, jeno poczciwy Ławrynowicz. Do nauki tej my wszyscy braliśmy się bardzo wcześnie, bo w piątym roku życia, najpóźniej w szóstym, tak że od lat sześciu każdy z nas czytywał już wszystkie książki, jakie mu tylko w ręce wpadły, przepisywał sobie „Wiersze Różne", miał „sztambuch" (album) w kształcie serduszka, rozkładający się kunsztownie w kształcie krzyża z czterech takich serduszek złożonego. W tym wieku mogliśmy już należeć do zabawnej pisanej gry „sekretarza", w której na złożonej podłużnie we czworo kartce jeden wypisywał mężczyzn, drugi — nazwiska kobiet, trzeci — „miejsca", a czwarty „czynności", poczem wszystko odczytywało się głośno z wybuchami śmiechu, gdy wypadło coś w guście np. „ksiądz Miniałgo i Josielowa pod stołem grają w karty." Dodawszy do tego przyjemność z przeglądania kalendarza (poczciwego wileńskiego kalendarza Manesa Roma i Manesa Zymelowicza, w którym święta były drukowane czerwono, a w przepowiedniach pogody najczęściej wróżono „stronami deszcz"), a także z czytania listów i różnych komunikacyi, niemniej jak dopomaganie w prowadzeniu rachunków i rejestrów gospodarskich, w wydawaniu kartek żeńcom i t. d. (zajęcia wielce przyjemne i nam dzieciom schlebiające) — łatwo pojąć, jak silne były bodźce praktyczne, zachęcające do jak najprędszego wyuczenia się czytania i pisania.

Ławrynowicz miewał zwykle kilka rozmaitych elementarzy i często je zmieniał przy nauce, aby tym sposobem zachęcić ucznia i zaciekawić do jak najprędszego dowiedzenia się o treści każdego z elementarzy. Były tam więc i zwykłe, najtańsze na bibule i lichemi czcionkami („ćwieczkami", jak mówiono) drukowane abecadlniki z nieuniknioną przy końcu „kolędą" wierszowaną, zaczynającą się od słów: „Różeczką Duch święty dziateczki bić radzi"; były i pokaźniejsze, z kolorowanemi obrazkami, bajeczkami i powiastkami; nadewszystkie zaś zachwycał nas duży elementarz w białej z niebieskiem okładce, wydany przez Teofila Emanuela w Warszawie, a zawierający mnóstwo prześlicznych choć czarnych rysunków i tak w treść bogaty, że śmiało można go było nazwać podręcznikiem do „nauki rzeczy" lub wypisami dziecinnemi.

Ławrynewicz zaczynał naukę dawnym obyczajem, od sylabizowania, ale że nam wogóle Bóg zdolności nie był poskąpił, prędko pojmowaliśmy istotę tej zmudnej pracy i już po kilku lekcyach mogliśmy czytywać całe wyrazy. Potem elementarz odkładano na stronę i Ławrynowicz zabierał się do nauki pisania, połączonej z czytaniem. W tym celu posiadał drukowane, sztychowane i pięknie kaligraficznie pisane wzory czyli, jak je wtedy na Litwie nazywano, „formatyki" na dużych pojedyńczych arkuszach, które pociągał roztopionym woskiem. Po zastygnięciu wosku, przeświecały przezeń litery formatyki i dopiero po wosku trzeba było pisać zwyczajnem piórem gęsiem, „twardo" zatemperowanym, ale atramentem, oczywiście, nie zwyczajnym lecz „białym", przygotowanym z kredy i jeszcze podobno jakiejś ingredyencyi. Pismo następnie się zmywało i ta sama „farmatyka" służyła do ponownego pisania. Od formatyki wracało się często do elementarza — do czytania wyrazów, całych opowiadań i wierszyków, a pisanie po wosku trwało aż do czasu, gdy Ławrynowicz osądził, że można już sporządzić „seksternʺ (kajet) i próbować pisać „z zacięciem". Na wosku bowiem, oczywiście, litery były niekształtne i wszystkie linijki jednakowej grubości; dopiero w seksternie pokazywał nam Ławrynowicz, gdzie jest potrzebne „zacięcie", wywoływane odpowiedniem przyciskaniem pióra, a gdzie go nie potrzeba, lecz wypada zostawić cienką linijkę. Była to dla dziecka trudność nielada, bo techniczna, mechaniczna: daleko łatwiej przychodziło nam kształtne formowanie liter i wszyscy jakoś nabyliśmy niezgorszego charakteru pisma.

Przy nauce czytania i pisania opowiedział nam raz Ławrynowicz bajeczkę o literach, którą tu przytaczam.

Patrzcie no dzieci, mówił, jak to rozmaicie wyglądają te literki: jedne sobie tłuściutkie, jak O i U, inne cienkie i długie, jak I; te znowu powykrzywiane i połamane, jak S lub Z, niby garbate jak P, powygryzane jak C i G, to znowu jakieś dziwnie szczerbate jak F lub jakby wyschłe W, M, N. Dlaczego są takiemi, powiem wam jeśli chcecie. Niezawsze bowiem tak było i podobno niegdyś każda literka była sobie pełną i zgrabną figurką, ładnym rysuneczkiem. Było tak długo i dobrze im się wiodło, dopóki żyły ze sobą w zgodzie i wzajemnie się wspierały, wyciągając się, w razie potrzeby, równym i ładnym, a zgodnym szeregiem, w którym stały obok siebie najróżnorodniejsze litery, nie kłócąc się ani łając, nie pogardzając towarzyszkami i nie wynosząc siebie nad inne.

Aż oto raz od jakiegoś uczonego, który choć wiele książek przeczytał, lecz nic dobrego jeszcze nikomu nie zrobił, posłyszały literki, że nie są pomiędzy sobą równe, ale że i między niemi są szlachta i chłopi. Dowiedziały się mianowicie A, E, I, O, U, Y że są daleko lepsze i ważniejsze od innych liter i że nawet bez nich mogą sobie dać radę. Zaczęły więc bardzo nadymać się i pysznić i gardzić innemi literami, przypominając im ciągle, że są słabe i nic nieznaczące i że bez pomocy ich, silnej szlachty, zupełnie do pisma są niezdatne. Przyszło do szturchańców i bójek, w których i jedne i drugie — i szlachetne litery i chłopskie — zostały pomięte, wykoszlawione i połamane, a niezgoda wzrastała jeszcze bardziej, gdy i pomiędzy owemi chłopami znalazły się takie, które znowu podsłuchawszy uczonych Niemców miały się za lepsze od innych i nie chciały stać z resztą w jednym szeregu, lecz garnęły się do szlachty, a że ta znowu tych pyszałków znać nie chciała, wyrosła więc trzecia jeszcze kategorya — niby mieszczan, jednodworców, lub szlachty zaściankowej — do której rachowały siebie L, R, M, N i S. Zgoda między literami zupełnie przepadła i tylko coraz to słychać było o nowych kalectwach, wskutek ciągłych bójek. Pomiędzy szlachtą O było jeszcze najzgodniejsze i najspokojniejsze, chciało ono odegrać niby rolę króla czy rządzcy, ażeby pogodzić między sobą powaśnione litery, ale to mu się nie udało i tylko taki zysk odniosło, że dobrej i spokojnej litery nikt turbować nie śmiał, a chociaż i ona nieco schudła (gdyż dawniej była podobno podwójną), lecz przynajmniej nikt jej zębów nie wybił, rękami nóg nie połamał. A za to cóż się to stało z resztą liter! Tak szlachetnemu U wybito wszystkie zęby, A i L utraciły swe pełne dawniej brzuszki, T straciło ręce, a F — nogi, C, P i S dostały garbów i wykoszlawiły się w kabłąk, a z K, W, M i N pozostały same tylko kości. Ze szlachty najwięcej dokazywało E, które też za to tak poszczerbiono, że ciągle wołało *e*, *e*, a *I* dostało suchot i ciągle tylko cienkim głosikiem piszczy *i*, *i*! Rozeszły się wreszcie litery: szlachta w jedną stronę, a chłopi z mieszczanami i jednodworcami w drugą. Ale cóż się stało? Liczniejszy tłum nieszlachty, chociaż mocno poturbowany i okaleczony, znalazł sobie jednak przytułek u ludzi, którzy dotąd, jak żydzi, zaczęli też pisać samemi tylko temi literami (spółgłoskami), miejsce brakujących (samogłosek) zastępując kropkami i różnemi znakami. Szło więc im jako tako, chociaż niezupełnie dobrze, bo nawet zaczęły już chodzić na wspak, niby raki, dlatego tylko, żeby nie było po dawnemu: ztąd żydzi i inne narody, które to pospólstwo liter do siebie przyjęły, piszą w odwrotnym kierunku — od prawej ręki ku lewej. Oprócz tego była jeszcze i ta niedogodność, że czasem na piśmie przypadkiem lub od much zjawiły się plamki i punkciki, co zupełnie zmieniało znaczenie napisanego i niełatwo było odróżnić te kropki przypadkowe od postawionych umyślnie. Szło więc nieszczególnie, ale zawsze szło jakoś; szlachetne zaś litery zupełnie nigdzie nie znalazły sobie przytułku, bo nie było nigdzie ludzi, którzy pisaliby samemi tylko samogłoskami.

Znalazł się wprawdzie jeden podobno lud, zwany I-o-a-e, mieszkający gdzieś w krajach gorących na wyspie Eoea, który używał mowy, jedynie z samogłosek złożonej, ale był to lud zupełnie dziki, który czytać ani pisać nie umiał i przeto żadnych liter nie potrzebował, a nadto byli to ludożercy, którzy ludzi zjadali, a i szlachtą literek, chociaż nieco wychudłą, także nie gardzili. Gdy więc owi panowie na tę wyspę zawędrowali, jeden z dzikich ogryzł mocno szlachetną literkę Y i byłby połknął wszystkie, gdyby nie były rzuciły się do morza, ratując się ucieczką. Musiały w końcu szla-

chetne litery żyć z żebraniny i byłyby pewno zupełnie z głodu zginęły, gdyby nie znaleźli się jeszcze na świecie mądrzy i dobrzy ludzie, którzy je z pospólstwem liter pogodzili i utworzyli sobie pismo z obu gatunków, jak było dawniej, pismo najwyraźniejsze i najlepsze."

Ta historyjka utkwiła głęboko w naszych umysłach dziecięcych i co do mnie, dała mi ona pierwsze wiadomości o naturze samogłosek i spółgłosek o większej trwałości brzmień płynnych i nosowych coś o piśmie żydowskiem, a przy późniejszem głębszem zastanowieniu się, dojrzałem tu także myśl o niezgodzie stanów.

Z rozmaitych innych przygodnych opowiadań pana Ławrynowicza, o ile mi takowe zostały w pamięci, zrobię może jeszcze nieraz użytek.

Tu zaś przytoczę jeszcze dwie jego anegdotki, ożywione dążnością pedagogiczną, które dosyć korzystny wywarły wpływ na moje usposobienie. Zdarzyło się raz jakoś, w czasie pobytu Ławrynowicza w naszym domu, że cała niemal rodzina, udawszy się w odwiedziny do Starodwórki, mnie pozostawiła w domu z powodu lekkiej choroby. Martwiłem się tedy i płakałem — a miałem wówczas lat ośm — rozpamiętywając zabawy rodzeństwa w Starodwórce z tamecznemi rówieśnikami— Apolinkiem i Julką, a nadewszystko żałowałem, że mnie ominęły przejażdżka łódką po stawie i słynne kawony (arbuzy) z inspektów starodworskich. Poczciwy Ławrynowicz zabawiał i pocieszał mnie, jak mógł, nazajutrz zaś, gdy już wszyscy z odwiedzin wrócili i wszystko opowiedzieli, co tam robili, co jedli i jak się bawili, rzekł do mnie po obiedzie:

— Leandziu, możesz sobie pomyśléć, że i ty także byłeś w Starodwórce.

Zrobiłem wielkie oczy, nie rozumiejąc, jak można myśléć że było to, czego nie było.

— Wiesz bo już teraz — ciągnął dalej nasz przyjaciel — wszystko, co tam się działo, a choć ty z tego nie korzystałeś, z czego korzystali twoi bracia, to jednak i oni również jak i ty niewiele z tego wszystkiego zyskali. Oto gdyby np. który z was nie miał bucików, a dali mu je w Starodwórce, albo gdyby wyjechawszy z domu głupim, powrócił ztamtąd rozumnym, albo gdyby choć jednej jakiej rzeczy pożytecznej i trwałej się nauczył — wtedy owa wizyta zostawiłaby trwalsze ślady i dłuższe wspomnienie. A tak — dziś jeszcze pamiętacie o doznanych tam przyjemnościach i o połkniętych łakociach, a jutro już zapomnicie. Nie potrzebuje więc Leandzio martwić się ani wam zazdrościć, tylko przenieść obojętnie, że tam być nie mógł, a dla skuteczniejszego uspokojenia się wyobrażać sobie, że tam był i że jemu, podobnie jak i wam wszystkim, którzy byliście tam istotnie, nic już z owych przyjemności i wspomnień nie zostało.

Znałem ja kiedyś dawno — prawił dalej — dziewczynę wiejską Pałusię. Biedaczka mieszkała z matką komornicą, bardzo ubogą kobietą; dlatego nie mogła ani ubrać się tak ładnie, ani bawić się jak inne zamożniejsze dziewczęta. Zato od dzieciństwa biedna ta dziewczynka okazywała dziwne jakieś zgadzanie się z losem, które broniło ją od zmartwienia, od niemożliwych zachcianek i od zazdrości. Kto ją tego nauczył — niewiadomo, bo matka była kobieta prosta; może ksiądz proboszcz, bo ten ją i czytać nauczył i często różne rady dawał, gdy dziewczynka, w niedzielę po mszy, przybiegała ucałować ręce dobrodzieja i siadywała niekiedy długo u nóg staruszka na ganku plebanii, słuchając jego nauk i rad dobrotliwych.

Bywałem ja tam niekiedy w tej wiosce i słyszałem od jej matki opowiadanie o postępowaniu dziewczęcia. Jeszcze będąc małą, Pałusia dziwnie sobie rozumowała i pocieszała się w swojej biedzie. Tak gdy inne dziewczynki wiejskie oczętami, w których pałały zazdrość i pożądliwość, pożerały prześliczne sukienki dworskich panienek lub ich lalki, Pałusia patrzała na to wszystko obojętnie, a nawet nieraz potem mawiała do Teklusi lub Marylki:

— I ja także miałam taką sukienkę, a może i piękniejszą, ale zdarła mi się na szmatki i już jej nie ma. Była i lalka, ale ją połamałam...

(*D. c. n.*)

DO SZYDZĄCEJ.

Mówiono ci oddawna, że pochlebstwa słowo,
Kryje trucizny żądło, pod szatą miodową:
Lecz wierzaj mi dzieweczko! stokroć gorsze jady,
Wlać może w twoją duszę cień szyderstwa blady.

On to niby niewinnie, zabawką lub żartem,
Wśliźnie się najpierw w usta, potem w serce [padnie,
Umysłem twym i duszą na zawsze zawładnie,
Jeśli go nie odeprzesz silnej woli hartem.

Więc strzeż się, luba moja, tego złego ziarna,
By chwastem nie wyrosło wśród zranionej duszy:
A kiedy cię w dniach próby nawiedzi myśl czarna,
Gdy cię co w życiu zgnębi, zasmuci lub wzruszy,
Niech w Niebo chętnie wzleci modlitwa ofiarna,
A wnet ożywczy promień twą skargę zagłuszy.

Emilia.

Radoszewice.

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

Napatrzywszy się naprzykład do woli bogatym wystawom bronzów i klejnotów, zwróci uwagę przybysza sklep sąsiedni w którym stoją poustawiane podłużnie jakieś pudełka pociągające wzrok żywością barw, pięknemi pasmanteryami, złotemi i srebrnemi filigranowemi ozdobami, — i przychodzi na myśl aby kupić ich parę na podarunki dla pozostałych w kraju przyjaciół, jako okaz wyrobów hiszpańskich. A jest w czem wybierać; są tu niebieskie, różowe, złocone, posrebrzane, niektóre nader bogato przyozdobione. I stawiamy sobie pytanie do czego służyć mogą śliczne te pudełka. Najwłaściwiej nadawałyby się na szkatułki do klejnotów — ale czyżby Madrytanki posiadały ich tak wiele?... Otóż cacka te są to trumienki dziecinne; trumny dla dorosłych stoją w głębi składu; są one ciemniejszych kolorów, ale także bogato przystrojone najfantastyczniejszemi ozdobami. Zwykłymi nabywcami są osoby które straciły kogoś z przyjaciół czy krewnych; bywają jednak ludzie tak przezorni który zawczasu sami wybierają i kupują sobie taką trumnę. Póki zdrowie im służy przechowują w niej papiery familijne, a po śmierci sami w niej są złożeni.

Pragnąc wtajemniczyć się w szczegóły tego niezwykłego handlu, umyśliłem wejść do ponurego sklepu. Kupiec zbliżył się do mnie natychmiast, i sądząc że pragnę, jak wielu innych zawczasu zaopatrzyć się w przedmiot tak niezbędny, zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, poczem rzekł z nader uprzejmym uśmiechem wskazując jedną z trumien: „Ta, wybornie będzie pasować dla pana!" I, o ile mi się zdaje, dobrał doskonale. Wskazana mi trumna nie miała w sobie nic odrażającego, gdyż kształt jej niknął prawie dzięki bogatej złoconej rzeźbie — mimo to opuściłem skład nie nabywszy tego niezwykłego sprzętu, który przecież prędzej czy później, każdemu niezbędnym będzie.

Ten zbytek pozagrobowy tem się tu tłomaczy, iż z bogatszej lub skromniejszej powierzchowności trumny, publiczność sądzi o bogactwie lub ubóstwie zmarłego, jakoteż o żalu pozostałej rodziny.

Przypadł mi ten niezwykły zaszczyt, iż w hotelu Puerta del Sol w którym stanąłem, miałem za sąsiadów — posłów siamskich. Ci mieszkańcy dalekiego Wschodu, uchodzący za tak cichych i poważnych, bywali niekiedy bardzo hałaśliwi. Zdaje się rozśmieszały ich bardzo i bawiły zarazem nasze zwyczaje, jednakże przejmowali z nich co im się wydawało pożytecznem. Uznawali że zadajemy sobie bardzo wiele całkiem niepotrzebnych i bezużytecznych zachodów, krzątamy się, trudzimy po to jedynie aby zawsze wracać do jednego i tego samego punktu wyjścia. Kortezów uważali za *niesforną zgraję*, buntowników przeciw władzy monarszej, niepokoiły ich polityczne zaburzenia w Hiszpanii, ze względu na własne ich niebezpieczeństwo.

Uspokoili się jednak gdy już naznaczono im dzień posłuchania u króla. Dnia tego zajechały przed hotel cztery galowe karety dworskie; z okien mego mieszkania doskonale mogłem widzieć cały orszak i szczegóły pochodu. Każdy powóz zaprzężony był w ośm koni, zdobnych w pióropusze, i otoczony niezliczoną liczbą służby w paradnych strojach. Panowie ambasadorowie i świta ich, kazali długo czekać na siebie, ponieważ, według siamskiej etykiety, im większy dygnitarz, tem mniej akuratnym być powinien. Zaledwie zdołali przepchać się przez tłum zalegający chodnik i podziwiający wspaniałe stroje Siamczyków, tak lśniące od złota jak galowe powozy dworskie w których z majestatyczną powagą zajęli miejsca. Okazały ten poczet i paradne galowe stroje, przypominały epokę Filipa IV, którego dwór przedstawiał zbytek i wystawność dwóch monarchii.

Gdy orszak poruszył się migoczące różnobarwne pióropusze, błyszczące rzędy na koniach, jaśniejące od złoceń powozy i bogate mundury, przedstawiały zarazem okazały i ucieszny widok, przypominający zarazem ceremoniał dworski i jakąś karnawałową maskaradę.

III.

Pod względem starożytnych gmachów i pomników, Madryt jest bardzo ubogim; szczególniej co się tycze kościołów, chociaż i wspaniałością

nowych nie bardzo poszczycić się może. Większość ich jest w stylu *rococo* a ozdoby cechują smak bardzo nieukształcony, odpowiadający religijnemu poczuciu, niemającemu nic wspólnego z prawdziwą pobożnością i głęboką wiarą jaka natchnęła twórców prastarych katedr wznoszących się w starożytnych stolicach Hiszpanii.

Do najmniej godnych zwiedzenia należy kościół Atocha, który Pius IX na prośbę królowej Izabeli podniósł do godności bazyliki. W nim to znajduje się sławny obraz Madonny, uważany — jak tyle innych z resztą — za utwór Św. Łukasza. Obraz ten uważany jest za cudowny; uciekają się do niego w ważnych okolicznościach i groźnych niebezpieczeństwach, choć co prawda niekiedy bardzo niewłaściwie, jak np. Ferdynand VII, który przyszedł tu wzywać pomocy Bogarodzicy, w chwili knowania spisku przeciw własnemu ojcu. Oprowadzający zwrócił moją uwagę na liczny zbiór sztandarów przypominających zwycięztwa Hiszpanów na polu walki — prawdziwy anachronizm w świątyni Boga pokoju i miłości — oraz na pomnik grobowy jenerała Prim'a, zanadto przeciążony ozdobami. Na podstawie pomnika leży mnóstwo wieńców złożonych przez stronników nieszczęśliwego jenerała i monarchii jaką chciał założyć. Pomimo tylu przewrotów politycznych jakie miały miejsce po upadku tej przelotnej królewskości, kwiaty te i towarzyszące im godła i napisy pozostały nienaruszone.

Od jakich stu lat, kościół Atocha stał się—jak to mówią, modnym—uczęszcza do niego cały wyższy świat. Każdy monarcha hiszpański liczący się z opinią publiczną, musi regularnie co sobota być obecnym na nabożeństwie wieczornem w tym kościele. Tak królowa Izabela jak król Amadeusz nie zaniedbywali nigdy tego pobożnego obowiązku i Alfons XII wypełnia go jak najściślej. Ma się rozumiéć że cudzoziemcy korzystają z tej sposobności aby mu się przypatrzéć. I ja też w oznaczonej godzinie stanąłem przy portyku kościoła i niebawem ujrzałem króla i księżnę Asturyi przybywających dworno i wystawnie; poprzedzało ich kilka powozów w których siedzieli wojskowi i wysocy dostojnicy w świetnych mundurach, a dalej liczna świta. Tłum witał króla ukłonami; aby uniknąć nieustannego zdejmowania kapelusza, Alfons XII szedł z odkrytą głową; ale tłum ten witał i okrzykiwał tylu monarchów najrozmaitszego pochodzenia, iż znać było że nie miłość ani poszanowanie, ale prosta ciekawość tu go przywiodła.

A jednak może budzić zajęcie młody ten monarcha, mający tak trudne do spełnienia zadanie: zamknąć erę smutnej przeszłości i bratobójczej wojny, odbudować zgliszcza, zapewnić krajowi tak pożądany spokój i pomyślność.

Z kościoła król wraz z całym orszakiem udaje się zwykle do Buen Retiro; jest to ładny lasek, ale zakrawający nieco na cmentarz, z powodu nadmiaru rosnących w nim cisów i tui. Tu powinien przejeżdżać się w powozie, między godziną trzecią a siódmą, każdy szanujący się człowiek. Powozy kilku rzędami posuwają się po drodze; przypomina to bardzo lasek Buloński, ale daleko większą zaleca się rozmaitością. Jednak pomimo tej różnorodności szczegółów, kto zwiedził kilka stolic Europy, niemiłego doznaje wrażenia, widząc jak tegoczesna cywilizacya zrównała swym strychulcem rozmaite społeczeństwa, a pozbawiając je wszelkiej oryginalności i właściwej każdej fizyognomii, ogołociła je zarazem z tego uroku i pojęty, jaką ma dla nas coś nieznanego.

Muszę jednak zaznaczyć rys charakteru czysto miejscowy, do którego musiałem się zastosować chcąc oddać moje listy rekomendacyjne. Nie mogę się pochwalić rannem wstawaniem, a przecież w Madrycie moje pod tym względem nawyknienie uważanoby za trochę więcej niż mieszczuchowatość. Tu człowiek zaliczający się *do towarzystwa*, nie może wstawać raniej jak między dwunastą a drugą, a z odwiedzinami nie można przyjść wcześniej jak o czwartej lub piątej po południu, lub co należy do dobrego tonu, między północą a trzecią rano. Strasznie to niedogodna godzina dla osób nawykłych kłaść się i wstawać o zwykłej porze.

Gmach ministeryum spraw wewnętrznych (*gobernation)* wznosił się naprzeciw okien mego hotelu, mogłem więc przekonać się, że urzędnicy przychodzili do biura około drugiej po południu, a opuszczali je około czwartej. Tak wyżsi jak niżsi, zwracali się ku Prado z niezbędnem cygarem w ustach, z niewysłowionem zadowolnieniem ludzi którzy dobrze zasłużyli się krajowi.

Szczęśliwy to lud i wygodnie pojmujący życie! umie wznieść się po nad przesądy i wymagania dwóch praw tegoczesnych społeczeństw, to jest pracy i postępu, prędko zapomina przeszłości, zamyka oczy na przyszłość aby używać teraźniejszości.

IV.

Koroną Madrytu jest muzeum. Za wejściem do tego pałacu, ogarnia nas jakiś niezrównany urok, pogodniejsze myśli powstają w głowie, oddychamy lżej zapominając o sprawach, żądzy bogactw miotającej ludźmi, słowem o wszelkich trudnościach i kłopotach życia doczesnego. Jakże to prędko mijają godziny w tym cichym, spokojnym, tak cudnie wyidealizowanym świecie. Podczas kilkodniowego pobytu w Madrycie, przychodziłem tu codziennie nasycić się widokiem nagromadzonych arcydzieł.

Muzeum madryckie uważane jest za jedno z najbogatszych i najpiękniejszych w Europie; odznacza się tem szczególniej iż posiada liczne okazy arcydzieł wszystkich szkół. Obok Murilla i Velasquez'a będących tu jakby u siebie, spotykamy obrazy Rafaela, Tycyana, Corregia, Rubensa i innych mistrzów różnych szkół, stanowiących razem olśniewającą plejadę.

Utwory tych mistrzów spotyka się we wszystkich Muzeach europejskich, nie będę więc rozpisywał się o nich, nie mogę jednak pominąć jednego mało znanego po za granicami Hiszpanii, a którego dzieła śmiało mogą stanąć obok najpierwszych mistrzów. Jest nim Juan Joannes; obrazy jego z pierwszego wejrzenia można wziąć za utwory Rubens'a.

Jakże to charakterystyczne są wszystkie postacie jego *Wieczerzy Pańskiej*! Perspektywa nie dosięga doskonałości Rafaela; koloryt nie tak ciepły jak u Tycyana, ale układ i postawa osób, wyraz twarzy, uderzają naturalnością i niewysłowionym pociągają urokiem. Joannes był nabożny aż do mistycyzmu. Żył jak zakonnik i bynajmniej nie ubiegał się o łaski dworu, co za jego czasu nie otaczało sławą. Nie nastręczały mu się do malowania portrety królewskich rodzin, nie pisano na jego cześć sonetów. Jak Fra Angelico pędził żywot w swojej skromnej pracowni, wśród ciągłej ekstazy i widzeń, przyjmując tylko szczupłe gronko wybranych równie jak on pobożnych, żywiących podobne jemu uczucia i myśli.

Pewnego dnia odwiedził go spowiednik jego, jezuita Marcin Alberro, i opowiedział mu iż miał widzenie w którem ukazała mu się Matka Boska. Opisał mu drobiazgowo wszelkie szczegóły tej sceny mistycznej, tunikę N. Panny, jej płaszcz lazurowy, pół-księżyc na którym stała, a dalej trzy osoby Trójcy Świętej, która jej niepokalane czoło niebiańskim przyozdobiła diademem.

Cudowny penzel Joannesa odtworzył całą tę scenę; obraz ten, wynik gorącej jego pobożności, odtworzony w kopiach, czczony jest w wielu kościołach. Artysta utrwalił natchnienie swoje na płótnie, znacząc je stigmatem prawdy, tak jak mu się przedstawiała w gorących jego porywach ku niebiańskim wyżynom. W utworze swoim połączył realizm piękna, z podniosłem tchnieniem zachwytu serca.

(*D. c. n.*)

O dalszym rozwoju romantyzmu.

Trzy odczyty pr. Stanisława hr. Tarnowskiego wygłoszone na korzyść osad rolnych.

Jeżeli przypomnimy sobie, że czasy w których wzrastała triada naszych poetów, były to czasy najprzykrzejszych przejść, jakie ich ojczyzna doznawała, to nie będziemy się dziwować dlaczego ich bohaterzy są tak smutni, tak mało humoru zawierający, i często sarkastycznie urągający — jak Gustaw w „Dziadach" bogom i bliźniemu.

W tych to czasach powstała „Nieboska komedya" Krasińskiego:

„Nieboska komedya" swoją budową poematu i swoją dykcyą zupełnie na innych wyrosła zagonach. Treścią i zasadniczą myślą nie jest tam lud, ani naród, ale Krasiński porusza w niej walkę, której zadaniem jest stworzyć nowy ideał i nowe podstawy społecznego życia. Punktem wyjścia, punktem kotwicznym i jednym z najsilniejszych czynników do osiągnięcia tego celu, postawił tu autor Chrystyanizm. Ta filozoficzna myśl, tą dążność cała Krasińkiego zawarła się w dwóch silnych a przeciwnych sobie i wrogich obozach na których czele stoi hrabia Henryk i Pankracy. Cała więc treść poematu przybrana w te prawdziwe i rzeczywiste figury, przyozdobione bujną fantazyą Krasińskiego, który miał na zawołanie mistrzowski język, wyłamujący się tu w nowe zwroty, dopełnił reszty. Jakże świetny stał się koloryt. Ten obraz hrabiego Henryka już w pierwszej części „Nieboskiej komedyi" był artystycznie skończony. Jako usposobienie poety-marzyciela z ognistą wyobraźnią i sercem chłodnym, nic a nic nie braknie hrabiemu w epoce, gdy sprowadził katastrofę na dom własny. W tych wszystkich chwilach, Zygmunt bardzo go wysunął naprzód, on wynurza się cały i posągowo jest uwydatnionym. Henryk to potomek znakomitej polskiej rodziny, egoista i razem konserwatysta tylko dlatego, że jest marzycielem-poetą. On szanuje wiarę, on przyjmuje ją jako środek konieczny ale w nią nie wierzy — szanuje ją, bo to tak pompatycznie, tak poetycznie, tak romantycznie posługiwać się nią we wszystkich obrządkach. Ona uzupełnia i dodaje uroku tym wymarzonym i wypoetyzowanym planom, które także nie tworzą się dla ich wartości, ale jedynie dla upodobania Henryka, samoluba, biegającego za pokusą dopóki mu z tem było wygodnie, a zwłaszcza przyjemnie — lecz skoro

trwające dłużej złudzenie, mogło go przyprawić o złamanie karku, zaraz otworzył oczy, przekonał się, że cudnej dziewicy, kości nagie wyzierają z łona. To przebudza go z letargu, ratuje więc sam siebie poświęcając tę, której zaprzysiągł opiekę.

Toż samo co się odgrywa w jego prywatnem życiu, powtarza się także i w publicznych dążnościach. Ów miecz poświęcany i przyjmowany z mową od księdza w imię wiary i t. d. czyż nam rzuca inny jakikolwiek cień na tę prawdziwą, a oszołomioną swem egoizmem i wyobraźnią postać, której jedynym celem jest prowadzić walkę, za te wyidealizowane plany nieobudzające głębszej wiary i stalszych wartości w samem pojęciu hrabiego.

Jako przeciwnik hrabiego występuje do walki druga istota,— tą jest Pankracy, człowiek zupełnie innych zapatrywań, realny, pozytywny, zdaje się silny; tam nie imaginacya, nie wyobraźnia, nie poetyczne względy, ale siła staje na pierwszym planie. On nie zna Boga, on nie wierzy w pozaświatowe życie, jego koniec i sława to tylko tu na ziemi. Świątynie i pałace Henryka, sale przepełnione pozostałemi zbrojami i zawieszone herbami, to nie dla Pankracego... Pankracy urąga się z tych czerwonych znaczków, on, jak Henryk nie zna przeszłości i nie dba o nią, u niego głównym hasłem, to przyszłość. On wie czego żąda... ale w rzeczywistości również słabym, jak hrabia Henryk, jest organizatorem i kierownikiem.

Cały system Pankracego polega na tem, aby burzyć, burzyć to wszystko, co dotąd było... idzie więc naprzód i pokonywa, korzystając z chwili obecnej, która spełnić musi koniecznie jego plany i wcielić myśl jego w prawo życia. Teraz to stanie się — albo już nigdy... Wszystko garnie się ku Pankracemu, dokoła rozlegają się okrzyki na cześć jego, chylą się przed nim kornie harde czoła upokorzonych wrogów, on dziś rozkazuje, on ma być założycielem nowego świata, twórcą nowego porządku, a jednak czuje że przyszłość wymyka mu się z rąk, że stanął u kresu swojej drogi i dalej już kroku postąpić nie zdoła. Starą budowę zburzył, natomiast żadnej innej wznieść nie potrafił.

Oto są dwie główne postacie „Nieboskiej komedyi" nad któremi w swych prelekcyach zatrzymywał się pr. Tarnowski, wykazując ich ogólną charakterystyczną cechę. Ci dwaj skrajni i niepodobni do siebie reprezentaci naszych czasów, stanowią główny materyał owej walki toczącej się w naszym wieku.

I pierwszy i drugi ma po swojej stronie liczne stronnictwa, które wierzą w siły swych przywódzców, a im właśnie tego tylko brakuje, że obydwaj nie mogą wierzyć w siłę swoich planów! Wobec tej rozbudzającej się życiowej walki, kiedy zamiary Pankracego coraz więcej dochodzą do skutku, tem więcej opanowywa go zwątpienie; jak również zwyciężony hrabia Henryk, widzi całą czczość swoich planów i najstraszniejsze życie, wzywające go do rachunku sumienia. Pierwszą postacią, najsilniej upokarzającą jego dumę jest syn hrabiego, ślepy Orcio. Orcio to trzecia, dosyć znaczna i dosyć charakterystyczna figura „Nieboskiej komedyi". Taki człowiek obojętny, taki martwy, taki zimny, którego nieobchodzi nic, to postać bardzo zbliżona do wielu typów dzisiejszego społeczeństwa.

Otóż, kiedy twierdza Świętej Trójcy została zwyciężoną, kiedy w siłę hrabiego Henryka zwątpiła cała załoga, a on jako poeta i marzyciel jeszcze nie pozwala się poddać, błaga swój obóz aby poświęcił życie i umarł niezwyciężonym... wszyscy mu protestują... trzech tylko ludzi stają się niezachwianymi: on, któremu ambicya nakazuje umierać, ów jego syn obojętny Orcio i stary sługa... Teraz wszyscy muszą się rozstać z sobą; hrabia Henryk musi umrzeć, bo już na murach twierdzy Świętej Trójcy jest nieprzyjaciel, życie jego i śmierć staje się przyczyną, że hrabia jako chrześcianin nie rokuje sobie zbawienia! Błaga więc syna o przebaczenie, ale Orcio mu go nie udziela! W jednej chwili całe życie pozagrobowe staje się cierpieniem; nie pójdą już w jedną drogę ukochane mu osoby...

Taki koniec „Nieboskiej komedyi". Czas nagli, nieprzyjaciel zstępuje z murów — możeby Orcio dał się przebłagać, ale i czasu nie ma po temu. Hrabia Henryk, każe jeszcze raz wystrzelić ostatniemi ładunkami, aby umrzeć z honorem, aby nie zdać twierdzy Świętej Trójcy — a sam rzuca się ze skały.

Tymczasem Pankracy staje na murach i spieszy aby uratować życie jednemu Henrykowi... Ale już zapóźno! Henryka nie znaleziono w twierdzy.

A Pankracy?

Smutny koniec przychodzi na Pankracego! Teraz w obłokach ukazuje mu się Chrystus z krzyżem w ręku, z palącym wzrokiem! Pankracy się lęka tego widoku, radby go się pozbyć... ale on nie ustępuje. Walczy nadaremnie, widmo nie opuszcza go. Tak kończą obydwaj przeciwnicy... tak kończy się „Nieboska komedya" którą nam pr. Tarnowski podał w swoich odczytach, przedstawiając twórczość naszego poety. Główna wartość i najświetniejsza część prelekcyi zbiegła się niezawodnie w wykazaniu, jakie ten poemat zabiera miejsce w wszechświatowej poezyi. Uzupełnia „Nieboska komedya" wszystkie romantyczne poematy, bez niej w poezyi brakłoby tej ogólnej walki społecznej, która na pierwszem miejscu stanęła w naszym wieku. Czy koniec nieboskiej komedyi odźwierciedli się w dziejach narodów, my o tem sądzić nie możemy. W każdym razie hrabia Henryk nie miał nigdy słuszności, bo gdyby działał w jakiembądź przekonaniu, choćby to było najfałszywsze, moglibyśmy uznać w nim człowieka silnego, umierającego za ideę; kto zaś gra tylko komedyą a kto poświęca siebie i „coś jeszcze więcej" dla jakichś wymarzonych celów, dla własnego egoizmu, dla fantazyi tylko, ten za męczennika uznanym być nie może.

W każdym razie dopóki Pankracy ufał w swoją siłę i wiedział, że jest silnym i może dać społeczeństwu pewne zwycięstwo i pewien byt, póty przewyższał hrabiego. Człowiek dopóty przewodniczy, dopóki wierzy w prawdę idei, którą przed stawia; gdy straci w nią wiarę a sztandaru nie opuszcza, wtedy gra komedyą i wprowadza w błąd tysiące, poświęcając spokój całych stronnictw, jak hrabia w „Nieboskiej komedyi".

Czy Krasiński omylił się w tym? To drugie pytanie! „Nieboska komedya" to hasło wieku. On odrysował go zupełnie naturalnie. Za grzechy Henryka, za grzechy Pankracego pokutuje tysiące osób, a jeden i drugi posługuje się nimi tylko dla własnych widoków i interesów. Machjawelska polityka przesiąkła najwyższe swery i po kolei przeszła przez wszystkie warstwy społeczne, aż do gełdziarza spekulującego cudzemi majątkami i żebraka pod kościołem oszukującego dla kawałka chleba, siebie, Boga i bliźniego, który jeszcze wobec wszech warstw jest najczystszy i najszlachetniejszy, może jedynie dlatego, że gorszym być nie potrafi. To chciał i to rzeczywiście odźwierciadlił w swoim poemacie Krasiński z niesłychanym talentem, z niesłychaną prawdą, z niepojętą bystrością i miarą obserwacyi. Wszyscy ludzie „Nieboskiej komedyi" żyją i są prawdziwi!

Bardzo też pięknie obrobił ten przedmiot pr. Tarnowski, wyjaśnił te figury, wyjaśnił myśl poety w najprzystępniejszej formie, jaką tylko sobie mógł urobić. Przytem talent retoryczny i piękny styl dodały prelekcyi wiele wdzięku i wiele przyczyniły się do podniesienia prawdziwego arcydzieła poezyi polskiej.

Wiktor Czajewski.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Towarzystwo Osad Rolnych korzystając z prawa przysługującego mu na mocy ustawy zasadniczej, opracowało i przedstawiło do zatwierdzenia właściwej władzy projekt Ustawy „Przytułków Rolniczo-Rzemieślniczych" dla małoletnich żebraków, włóczęgów i wogóle opuszczonych dzieci, bez dachu i rodziny, z których większość pozbawiona wszelkiego moralnego kierunku, schodzi na złą drogę i trafia do Osad Rolnych z piętnem hańby na czole. W chwili otrzymania ustawy, Towarzystwo Osad Rolnych rozporządzało nader ograniczonemi środkami, nie posiadało bowiem nic prócz lasu otrzymanego z Najwyższego zezwolenia, który jeszcze wykarczować należało, tylko więc dzięki ofiarności publicznej i zabiegom ludzi dobrej woli, mogła powstać dobroczynna ta instytucya dla poprawy małoletnich przestępców, skazanych wyrokami sądowemi. Obecnie Osady Rolne mają byt już zapewniony, a nadto złożyły dotykalne dowody swej działalności, powracając na dobrą drogę upadłe, skalane występkiem jednostki, i zdobywszy pewien zasób doświadczenia i umiejętnego postępowania z małoletnimi przestępcami, postanowiły uzupełnić swe zadanie przez zakładanie przytułków rolniczo-rzemieślniczych dla opuszczonych chłopców i dziewcząt, aby nieszczęśliwe te istoty uchronić od zepsucia i wychować na pożytecznych członków społeczeństwa. Obecnie według nadeszłych z Petersburga wiadomości, projektowana przez Towarzystwo ustawa została już rozpatrzona, i niezadługo ma uzyskać zatwierdzenie. Oto główne jej zasady:

Ustawa nie określa ściśle ilości zamierzonych przytułków; na początek proponuje otwarcie 20, następnie mają być otwierane po jednym w każdym powiecie, zależeć to jednak będzie od warunków miejscowych oraz środków materyalnych danych okolic. Urządzenie tych przytułków ma być jak najprostsze, odpowiadające sposobowi życia ludu prostego; w każdym ma znaleźć pomieszczenie od 20 do 30 nieletnich wychowańców, którymi kierować, i opiekować się będzie opiekun lub opiekunka przytułku. Kilka lub kilkanaście morgów gruntu, niezbędne gospodarskie budynki, oraz żywy i martwy inwentarz i jak najprostsze sprzęty — oto całe urządzenie przytułku. Dzieciom pomieszczonym w przytułkach zapewniona będzie opieka rodzicielska, wychowanie religijne i moralne, rozwinięcie władz umysłowych i fizycznych: prowadzić będą życie czynne, pracować w polu i ogrodzie i oddawać się zajęciom mogącym

zapewnić na przyszłość sposób do życia. Gospodarz lub gospodyni przytułku zajmą się pomieszczeniem odpowiedniem każdego wychowańca czy wychowanicy opuszczających przytułek, a prócz tego zaopatrzeni będą w bieliznę, ubranie i narzędzie odpowiadające przyszłym ich zajęciom. Zakłady te mogą wydać nader zbawienne owoce i gdyby można urządzić ich liczbę odpowiednio potrzebom, ułatwiłyby to nadzwyczaj trudne zadanie Osad Rolnych; nie dopuszczając upadku, nie potrzeba byłoby podnosić upadających, co zawsze jest stokroć trudniejsze.

⁎⁎⁎ Stary mistrz niemieckiego dziejopisarstwa, Leopold Banke, 13 z. m. obchodził w Berlinie pięćdziesiątą rocznicę swojej nominacyi na członka Akademii Nauk. Cesarz nadał jubilatowi godność tajnego radcy i tytuł „ekscelencyi". Akademia złożyła mu powinszowanie. Mommsen miał przemowę w imieniu wydziału fizoloficzno-historycznego. Wieczorem otrzymał Banke list od cesarza Wilhelma, w którym monarcha wyraził się że nazwisko jubilata słynąc wiecznie i zawsze z wdzięcznością wspominane będzie, dodając: „Co do mnie, wdzięczność ta spotęgowana jest jeszcze nigdy niezapomnianą usługą jaką oddałeś mi pan napisaniem historyi mojego królewskiego rodu... Składam panu za to osobiste moje królewskie podziękowanie i łączę życzenie abyś jak najdłużej mógł pracować nadal dla chwały dziejów". Od ks. Bismarka odebrał Banke list następujący: „Dnia dzisiejszego należy raczej winszować pańskim czytelnikom i przyjaciołom, którzy nietylko są tak szczęśliwi że dotychczas posiadają tak sławnego i czcigodnego męża, ale nadto widzą go pracującego w pełni sił młodzieńczych. Uważam sobie za najwyższą przyjemność że od lat 40 łączą mnie z Waszą Ekscellencyą przyjazne stosunki i cieszę się nadzieją, że przez długi czas jeszcze będziem oglądać między nami wielkiego badacza naszych dziejów, tworzącego w dalszym ciągu dziejów powszechnych, niespożyte pomniki historyi niemieckiej." Rzeczywiście mimo tak podeszłego wieku, Banke czuje się dotąd zdrów i silny.

⁎⁎⁎ Najulubieńszą rezydencyą króla bawarskiego jest zamek Lindenhof, leżący w uroczej miejscowości w pośród Alp bawarkich. Po za pałacem wśród drzew i krzewów, wznosi się świątynia Wennes, a za nią sztuczna grota, wśród której pluszczą fale jeziora. Czas jakiś grota ta oświetlana była lampami niebieskiemi i ściany jej na ten kolor były pomalowane, lecz niedawno z rozkazu króla, lampy zmieniono na żółte i tak samo pomalowano ściany, obecnie więc fale przybrały złotą barwę, a gondola monarchy przesuwa się jakby po złotym strumieniu. Grota jest ogrzewaną; przed swiątynią biją cztery fontanny; we wnętrzu jej wznosi się posąg bogini miłości z różnokolorowego marmuru. Zamku królewskiego strzegą cztery przepyszne bronzowe lwy arabskie; zbudowany on jest na wzór Wersalu. Przed samym zamkiem stoi stara lipa, od której otrzymał swą nazwę. Do koła wznoszą się drzewa, krzewy i posągi. Umeblowanie jest w stylu renaissance; ściany pokryte bogatemi makatami i gobelinami: Meble odrobiono w Paryżu podług wzorów narysowanych przez króla; pokrycie ich zdobią przepyszne hafty, w których król szczególniejsze ma zamiłowanie. Nad łożem króla rozpięte są kotary aksamitne, bogato zahaftowane. Zaciekawia wszystkich piękny kiosk w stylu wschodnim, do którego nikt, prócz króla, nie ma wstępu. Naprzeciw zamku, na wzgórzu, wznosi się drewniana chata, zwana chatą Heitenga; w niej król Ludwik spędza samotnie całe dnie, a nieraz i noce, z książką w ręku, nad partyturami lub w pośród szkiców i rysunków wielkich artystów. Nieraz tu długie godziny przesiedzi zadumany wsparłszy głowę na ręku — ciekawa rzecz o czem marzy ukoronowany dziwak marzyciel?

⁎⁎⁎ Słynny meczet w Konstantynopolu, Aja-Sophia, niegdyś kościoł św. Zofii, największy i najwspanialszy z trzystu meczetów stolicy tureckiej, zdaniem znawców w niedługim czasie grozi zawaleniem. Wiadomość o tem wywołała niesłychane przerażenie w pośród ludności mahometańskiej, ponieważ według starego podania tureckiego zawalenie się Aij-Sophii ma być zapowiedzią astatecznego upadku państwa Osmanów. Już za panowania sułtana Abduł-Medżyda, starożytna świątynia św. Zofii, zbudowana przez cesarza Justyniana, potrzebowała niezbędnie restauracyi, co też z ogromnym kosztem dokonanem zostało, pod kierunkiem włoskiego architekta, Fossati'ego. Uroczyste otwarcie po tem odnowieniu, odbyło się w obec wspomnianego sułtana, dnia 19 lipca, 1849 roku. Obecnie zarysowała się znów bardzo groźnie wspaniała kopuła moszei, jedyny w swoim rodzaju pomnik architektury bizantyńskiej, a komisya złożona z najznakomitszych architektów i budowniczych stambulskich, po dokładnem jej obejrzeniu, oznajmiła w sprawozdaniu złożonem ministerstwu, iż niebezpieczeństwo zawalenia się jest tak blizkie, że za jeden dzień ręczyć nie można. Gdyby kopuła runęła w dzień, następstwa byłyby okropne, gdyż moszea zwykle zatłoczona jest wiernymi. Wnętrze jest jeszcze w dobrym stanie; rząd turecki zamierza niezwłocznie zarządzić gruntowną restauracyą monumentalnego gmachu — czyżby powodem tego niezwykłego u Turków pośpiechu była obawa spełnienia owej groźnej przepowiedni? —być może, gdyż jednocześnie przyłączyła się do niej i druga w którą zabobonni mahometanie ślepo wierzą.

Do przywilejów sułtana należy corocznie posyłanie do Mekki czarnego jedwabnego kobierca, który zostaje tam rozpostarty nad kaabą, najświętszym przybytkiem íslamu. W roku 1840, sułtan zniewolony został przyznać takież prawo władzcy Egiptu, z tem zastrzeżeniem, że dywan sułtański miał pokrywać przednią a egipski tylną część kaaby. Gdy ceremonia ta ma być dopełnioną, tysiące pielgrzymów otacza kaabę, przyglądajac się rozpostarciu dwóch dywanów; po dokonaniu tego rozlega się nieskończone *lulu*! (hurrah). W tym roku, przy rozpościeraniu dywanu tureckiego, skutkiem niezręczności robotnika, takowy się rozdarł, co niewymownie przeraziło obecnych, upatrujących w tem bardzo złą wróżbę dla państwa tureckiego, dla sułtana lub dla szeryfa. Mekkańczycy pamiętają dobrze, iż taki wypadek rozdarcia dywanu miał miejsce w r. 1876, w którym też nastąpiła śmierć Abdul-Azisa.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami oraz dla prenumeratorów na pocztę — Prospekt na pismo codzienne p. t. „Słowo".

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 24 Февраля 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 10, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

Mistres H. Wood.

I.

Rodzina Andinian.

Był to dom stary i brzydki, nie raz już odnawiany i przerabiany w nowoczesnym guście, i otoczony prześlicznym ogrodem. Jakkolwiek znajdował się w pobliżu dużego i handlowego miasta Northaptonshiru, stał samotnie, zdala od zgiełku i wrzawy.

W domu tym mieszkała mistress Andinian, wdowa po zmarłym kilka lat temu kapitanie królewskiej marynarki. Miała dwoch synów: starszy z nich, Adam nie obrał sobie żadnego zawodu i mieszkał przy matce; Karol był porucznikiem w pułku Jej Królewskiej Mości. Adam był domniemanym spadkobiercą stryja, sir Józefa Andinian, baroneta świeżej daty; Karol mógł tylko rachować w przyszłości na to co zdobędzie własną zasługą, i na mały swój dochód wynoszący dwieście funtów sterlingów.

Ci Andinianowie nie byli bogaci, jakkolwiek kapitan uważał się zawsze za człowieka w dobrym bycie; osobisty jego majątek wynosił sześćset funtów rocznego dochodu, a pensya nie była zbyt wysoką, ale kapitan Andinian miał skromne upodobania i nie wymagał wiele.

Umierając podzielił swoje mienie na trzy równe części; przekazał tak żonie jak każdemu z synów, po dwieście funtów rocznego dochodu. „Adam i moja żona będą mieszkać razem" pisał w testamencie, „wiem że nie zechce nigdy rozłączyć się ze swym starszym synem, a czterysta funtów rocznie, obok skromnej pensyjki którą pobierać będzie, może wystarczyć na porządne utrzymanie. Skoro Adam odziedziczy spadek po stryju, będą mogli ułożyć się z sobą jak zechcą, ale mam nadzieję że gdy to nastąpi nie zapomną także o Karolu."

Testament i przytoczone powyżej słowa, wzbudziły głębokie niezadowolnienie mistress Andinian. Starszy syn, Adam, był zawsze przedmiotem jej wyłącznego i szalonego przywiązania, przewyższającego nieskończenie wszystko, co zazwyczaj daje się widzieć w uczuciach najstronniejszych matek. Tak rażąca niesprawiedliwość musiała zwrócić uwagę kapitana, i to, prawdopodobnie, było powodem, że nie upoważnił żony testamentem do rozporządzenia dowolnie dwustu funtami stanowiącemi jej dochód osobisty, ale zastrzegł wyraźnie: że po śmierci mistress Andinian miały stać się własnością Karola. Kapitan Andinian kochał jednakowo obydwóch synów; byłby rad obydwóch uposażyć jak najlepiej, i podzieliłby ich z największą chęcią majątkiem, który miał spaść kiedyś na Adama; mistress Andinian życzyła sobie przeciwnie, aby pomimo że Adam miał odziedziczyć znaczny majątek po stryju, ojciec uposażył go także lepiej niż Karola.

Niezgoda dzieliła już od dawna dwie gałęzie tej rodziny. Sir Józef Andinian i brat jego już od lat wielu nie złączyli rąk braterskim uściskiem, a synowie kapitana nie znali wcale stryja. Jednak niesnaski te nie pochodziły głównie z winy któregoś z braci; nie oni to ale żony ich je wywołały. Obie te panie upośledzone charakterem dumnym, wymagającym, niezgodnym, posprzeczały się zaraz przy pierwszem widzeniu, następnie wzajemne rozdrażnienie i nieporozumienia wzmagały się ciągle, aż w końcu i mężowie zostali w nie wciągnięci.

Młodszy z braci, sir Józef Andinian, odznaczył się jako inżynier i cieszył się powodzeniem i pomyślnością. Znakomite prace które wykonał według własnego planu, zostały wynagrodzone tytułem baroneta. Nieszczęściem zaledwie zaczął się cieszyć tą nową godnością, nagły wypadek przykuł go na długi czas do łoża boleści, a co gorsza, uczynił nadal niezdolnym do czynnej pracy. Takim to sposobem, w młodym jeszcze wieku musiał porzucić swój zawód, i przeniósł zię na stałe do Foxwood-Court, pięknej posiadłości którą nabył w hrabstwie Kent. Od tego czasu mieszkał tam już ciągle z żoną, a z każdym upływającym rokiem kalectwo jego cięższej mu się czuć dawało. Ponieważ nie miał dzieci, tytuł baroneta, w razie jego śmierci, miał przejść na kapitana Andinian, a po nim na starszego syna, Adama.

Nie było jednak dane kapitanowi doczekać tej zmiany. Po powrocie z podróży trwającej trzy lata, kiedy na pozór pełen siły i zdrowia, oddawał się dumnym marzeniom o prawdopodobnym awansie, ukazującym mu w oddali flagę admiralską, uczuł pierwsze objawy choroby która zabić go miała. Zażądał aby lekarze nie ukrywali przed nim prawdy, i spełnili jego życzenie: mógł rachować tylko na kilka tygodni życia. Kapitan rozmyślał parę dni nad tem co mu czynić wypadało w takim stanie rzeczy, następnie udał się do Londynu, a z tamtąd pojechał do brata, sir Józefa Andinian.

Dwaj bracia spojrzawszy na siebie, zapomnieli zupełnie o rozdzielających ich tak długo niesnaskach; ich dłonie połączyły się w serdecznym uścisku, oczy szukały się wzajemnie z wyrazem szczerego przywiązania. Obydwaj posiadali umysł prawy, serce szlachetne i kochające, i gdyby nie ich żony które, musimy to wyznać, rządziły nimi despotycznie, żyliby z sobą zawsze w najlepszej zgodzie.

— Dni moje są już policzone, Józefie; umrę wkrótce, odezwał się kapitan, gdy już ochłonęli z pierwszego wzruszenia. Takie jest zdanie doktorów, a sam czuję że mają słuszność, i to zmusiło mnie do głębszego zastanowienia się nad wielu rzeczami, na które dotąd może zbyt mało zwracałem uwagi. Chęć pomówienia z tobą o moim synu, Adamie, była jednym z głównych powodów skłaniających mnie do odwiedzenia ciebie. Wszak powiesz mi prawdę, Józefie... prawdę szczerą, jaka należy się bratu?

— Czyż możesz powątpiewać o tem, Henryku? odpowiedział sir Józef. O czemże mam powiedzieć ci prawdę?

— Czy Adam będzie lub nie twoim spadkobiercą?

— Dziwne pytanie!... Będzie z pewnością... ale ma się rozumieć w takim razie, jeźli ja przeżyję ciebie. Zkąd ci też przyszło do głowy zadawać mi podobne pytanie? Nie mam przecie syna, i nie mogę mieć nadziei aby mi się urodził obecnie, twój więc zostanie z pewnością, po mej śmierci, *sir* Adamem.

— Nie pytałem się o tytuł, Józefie, bo to nie podlega wątpliwości że spadnie na niego, skoro nie pozostawisz spadkobiercy w prostej linii, ale chciałbym wiedzieć czy... czy pozostawisz mu ma-

jątek. Nic cię do tego nie zmusza; masz prawo rozporządzić nim stosownie do swej woli.

— Sądzisz więc, Harry, że byłbym zdolny popełnić podobną niesprawiedliwość? odpowiedział sir Józef trochę oburzony. Zostawić komuś tytuł baroneta, bez odpowiednich do niego środków utrzymania!... Nigdy nie przyszło mi nawet na myśl pozbawić spadku po mnie, ciebie lub twojego syna, w razie gdybyś pierwej odemnie zakończył życie. Możesz być pewnym że w dniu, w którym syn twój zajmie pozostawione przeze mnie stanowisko, obejmie także i mój majątek. Jeźli żona mnie przeżyje, pozostawię jej dożywocie na tym domu i znacznej części dochodów, ale po jej śmierci, Adam weźmie wszystko.

— Zdjąłeś mi wielki ciężar z serca, rzekł kapitan, gdyż muszę wyznać że Adam nie obrał sobie żadnego zawodu, a więc prócz dwustu funtów które mu pozostawię...

— Nie pracuje w żadnym zawodzie?... to źle... przerwał Józef Andinian; gdybym miał dziesięciu synów, i gdyby na każdego z nich spadał baronowski tytuł i majątek, to i w takim razie wychowałbym ich tak, aby umieli pracować głową lub rękami.

— Podzielam twoje zdanie, odpowiedział kapitan, i życzyłem sobie aby tak było; ale żona moja sprzeciwiała zię temu uporczywie: „Będzie kiedyś sir Adamem Andinian z Foxwood, odpowiadała na moje przełożenia, i nie wypada aby miał ręce zgrubiałe od pracy.” Muszę jeszcze dodać na moje usprawiedliwienie, że będąc prawie ciągle na morzu, nie mogłem mieć wielkiego wpływu na wychowanie mych synów.

— W każdym razie, dziwi mnie to bardzo że sam Adam nie zapragnął nauczyć się czegoś, choćby tylko dla tego aby mógł być na coś użytecznym.

— Adam ma wrodzone usposobienie do lenistwa, jest to rzecz przykra dla mnie, ale na nieszczęście nie ma na to lekarstwa. Zdaje mi się że wpływa na to po części stan jego zdrowia; co do powierzchowności, wygląda jak najroślejszy i najsilniejszy młody wieśniak, a pomimo to sądzę że nie posiada silnego organizmu.

— A jakiż ma charakter?

— Najlepszy; w dziecinnym wieku przerażał nas często gwałtownemi wybuchami gniewu, w który wpadał prawie bez powodu: zupełnie jak... jak pewna znana ci dobrze osoba, dodał kapitan z pewnem wahaniem.

Sir Józef skinął głową na znak że go zrozumiał. Ową osobą była żona kapitana. Małżonka sir Józefa nie była także wolną od tej wady, ale posiadała ją w niższym stopniu; wolała dąsać się niż gwałtownym wybuchać gniewem.

— Muszę jednak dodać, mówił dalej kapitan, że o ile się zdaje, Adam poprawił się zupełnie pod tym względem, bo nie widziałem ani też nie słyszałem o niczem podobnem, odkąd został dorosłym już mężczyzną. Byłbym bardzo szczęśliwy gdyby Adam obrał sobie jakieś stałe i pożyteczne zajęcie, ale matka powtarzała mu ciągle że będzie twoim spadkobiercą, i że wszelka praca była dla niego rzeczą całkiem niepotrzebną.

— Możesz być tego pewnym, Harry, że będzie moim spadkobiercą, jednak wyznaję że milejby mi było dowiedzieć się że ma zamiłowanie do pracy lub nauki. Na czem że mu czas schodzi? Większa część młodych ludzi szuka przecież jakiegoś zajęcia choćby dla tego aby w nie przelać trawiącą ich gorączkę działalności.

— Adam ma niby zajęcie któremu oddaje się znajżywszem upodobaniem, a do którego skłoniło go zamiłowanie w ogrodnictwie. Lubi namiętnie kwiaty, i chętnie przebywałby wśród drzew i krzewów od wschodu do zachodu słońca; jestem nawet przekonany że przy długiej wprawie i większem doświadczeniu, mógłby zostać drugim sir Józefem Paxton. Chciałbym żebyś go poznał; jest bardzo miłym i ładnym chłopcem.

— Powiedźże mi coś o twym młodszym synu. Jakież ma imię?

— Karol.

— Czemuż nie Henryk, jak ty?

— Żona moja wybrała mu to imię w czasie mej nieobecności. Matka nie kochała go nigdy...

— Czy być może! Co było tego powodem?

— Trzeba chyba wnosić że całą jej miłość macierzyńską zagarnął już Adam, tak dalece że nie była zdolną udzielić nawet jej najdrobniejszej cząsteczki drugiemu synowi. Jej miłość dla Adama jest prawie bałwochwalczą.. Tę niesprawiedliwość jej tłómaczę sobie tem jedynie, że po urodzeniu się Karola chorowała tak ciężko i długo, że nie mogła ani karmić go sama, ani pielęgnować. Musiała powierzyć go staraniom swej siostry mieszkającej przy niej, i pod której wyłączną opieką pozostawał przez trzy pierwsze lata życia.

— Powiedzże mi co o Karolu, rzekł sir Józef.

— Szkoda że go nie znasz! zawołał z uniesieniem kapitan Andinian. Jest to wzór zacności, dobroci, szlachetności charakteru! Wierz mi, Józefie, że w naszych czasach rzadko zdarza się spotkać młodzieńca któryby mógł być z nim porównanym.

— Czy jest równie wybuchliwym jak Adam?

— Bynajmniej! Możnaby powiedzieć prędzej że jest uosobioną cierpliwością; znosi z nieporównaną słodyczą wymagania matki i brata, od którego jest znacznie młodszym. Trzeba jednak przyznać że Adam kocha go także bardzo. Trudno byłoby znaleźć charakteru słodszego, jednostajniejszego, nad charakter Karola; posiada wszelkie zalety prawdziwego gentlamana. Będzie z niego dzielny żołnierz! jest obecnie chorążym w pułku ***.

— Wszakże to pułk gwardyi?

— Tak, szczęście sprzyjało mu pod tym względem, ale też potrzebuje własnemi siłami torować sobie drogę i wyrobić jakieś stanowisko w świecie, bo ja mało mu pozostawię po sobie. Jednak odkąd znam twoje zamiary względem Adama, jestem spokojniejszy o przyszłość mych synów. Dziękuję ci z całego serca, Józefie.

Bracia ścisnęli się powtórnie za ręce; to spotkanie sprawiło im przyjemność jakiej nie doznali już od lat wielu. Kapitan Andinian przebył dwa dni w Foxwood; lady Andinian była dla niego bardzo grzeczną ale zarazem bardzo zimną; nie poparła ani jednem słówkiem usilnych próśb męża aby kapitan pozostał u nich trochę dłużej, i nie zadała mu żadnego pytania dotyczącego jego rodziny.

Przewidywania co do śmierci kapitana, spełniły się dokładnie. Otworzono jego testament i znaleziono w nim wyżej przytoczone rozporządzenia. Od tego czasu upłynęło już lat kilka. Mistress Andinian mieszkała ciągle z Adamem w spokojnym i ustronnym domu w Northamptonshire; Karol, który dosłużył się już stopnia porucznika, przyjeżdżał do nich czasami. Jedynym ważnym wypadkiem w tym przeciągu czasu, była śmierć lady Andinian. Rodziny obu braci nie widywały się wcale, bo z Foxwood nie przyszło nigdy słówko zachęty do zawiązania bliższych stosunków. Obiegała pogłoska że sir Józef jest bardzo cierpiący, jakoż rzeczywiście stan jego zdrowia pogorszył się bardzo po śmierci żony.

Teraz gdyśmy już ukończyli ten długi wstęp, przystąpimy do opisania dalszych wypadków.

W piękny dzień kwietniowy, przy otwartem oknie, przez które wdzierały się do pokoju jasne i ciepłe promienie słońca, siedziała może pięćdziesięcioletnia kobieta, wysoka, imponująca i piękna jeszcze; każdy rys jej dumnej twarzy wyrażał śmiałość i stanowczość charakteru. Miała na sobie czarną jedwabną suknię przybraną krepą, a przy koronkowym czepeczku, czyli raczej ubiorku, parę kokard z czarnej wstążki. Włosy jej były jeszcze bardzo czarne i gęste, a ciemne oczy spoglądające surowo, zdradzały charakter energiczny, nie łatwo dający się onieśmielić lub zastraszyć. Była to mistress Andinian.

Robiła na drutach kaftanik dla któregoś z biednych któremi opiekowała się wraz z synem, ponieważ oboje byli miłosierni. Odrywała często oczy od roboty, i spoglądała w głąb' ogrodu, gdzie syn jej był zajęty jakąś ogrodniczą pracą; nie mogła się nigdy dość nacieszyć jego widokiem.

— Doprawdy, jest w tem coś dziwnego, że sir Józef nie wzywa go do siebie, mówiła sobie, a był to zawsze najulubieńszy przedmiot jej rozmyślań, — to milczenie jest dla mnie niepojętem. Adam powinienby tam pojechać, poznać swą przyszłą posiadłość, i sam zdrowy rozsądek powinienby wskazać jego stryjowi że to jest potrzebne i właściwe. Dotąd nikogo o nic nie prosiłam, uważając to za rzecz zbyt upokarzającą... gdyby nie to, napisałabym do sir Józefa z zapytaniem, czy nie życzy sobie widzieć u siebie Adama i... tak, i mnie także. Za życia tej kobiety, Adam nie zostałby tam mile przyjęty, ale już jej tam nie ma; umarła dwa miesiące temu.

Osobą, którą nazywała w myśli „tą kobietą”, była lady Andinian, i po niej to nosiła tę słabą imitacyę żałoby. Oczko które spadło z druta, zmusiło ją zwrócić uwagę na robotę, a gdy znów podniosła głowę, Adam znikł jej z oczu. Jednocześnie doszedł do niej zdaleka szmer jakiejś rozmowy; odłożywszy robotę z wyrazem niezadowolnienia, zaczęła się przysłuchiwać.

— Jestem pewna że znów rozmawia z Różą! szepnęła półgłosem.

Napróżno jednak wychylała głowę i natężała słuch; nie zdołała rozróżnić dźwięku głosów, mimo to, przeczuwała kto mówi, i była pewną że się nie myli.

W tej chwili wszedł do pokoju służący, człowiek już niemłody, poważnej powierzchowności, i oddał pani list.

— Od kogo? zapytała biorąc list ze srebrnej tacki, — z tacki pamiętającej dawne czasy, na której był wyryty herb Andinianów.

— Oddała mi go służąca mistress Pool. Czeka na odpowiedź.

Był to bilecik od jednej z sąsiadek, zapraszającej mistress Andinian aby spędziła u niej wieczór wraz z synami. Karol przyjechał właśnie na parę dni do matki, i obecnie pisał listy w przyległym pokoju.

— Dobrze, pójdziemy, rzekła do siebie pani Andinian, jeźli tylko Adam nie przyjął już jakiegoś zaproszenia; a zwracając się do służącego, dodała:

— Proś pana Andinian, aby przyszedł do mnie.

Stary Hewitt poszedł na drugi koniec ogrodu, i zastał swego pana stojącego przy otwartej furtce, i rozmawiającego z młodą i śliczną panienką, z blond włosami i świeżą jak róża twarzyczką.

— Pani prosi pana do siebie.

Adam odwrócił się, a dumna twarz jego przybrała wyraz niezadowolnienia, jakby go to niecierpliwiło że mu przerwano rozmowę. Był to bardzo piękny mężczyzna, mający około trzydziestu lat, wysokiego wzrostu, szeroki w ramionach, przypominający bardzo matkę tak pięknemi rysami, jak wyniosłą postawą i włosami kruczej czarności. Rzadkiej piękności ciemno siwe oczy, były głęboko obsadzone. Zęby jego zadziwiająco białe i równe, ukazywały się przy każdem otworzeniu ust.

— Powiedz pani że przyjdę za chwilę.

Hewitt odszedł, a młoda panienka która tymczasem przyglądała się swoim tulipanom mającym już pączki, rzekła:

— Zdaje mi się, panie Andinian, że zakwitną w przyszłym tygodniu.

— Co mnie obchodzą tulipany! odpowiedział po chwili, stojąc z posępną miną przy furtce do przyległego ogrodu. Chcę abyś mi powiedziała wszystko.

— Ale... nie mam już nic do powiedzenia, panie Andinian.

— Nie wierzę ci, Różo; zbliż się tu do mnie.

Spełniła jego życzenie.

Domek, do którego należał ten drugi ogród, był mały i skromnej powierzchowności. Mieszkał w nim, wraz z żoną i siostrzenicą, niejaki pan Turner, właściciel sklepu korzennega. Oboje państwo Turner byli to sobie ludzie bez żadnych pretensyj, zarówne jak skromne ich mieszkanie, ale nie mozna było tego powiedzieć o ich siostrzenicy Róży. Ojciec jej był adwokatem posiadającym niewielką liczbę klientów, a zatem i małe dochody, po jego śmierci wuj i ciotka wzięli do siebie Różę, która dawniej już straciła matkę, i którą oboje bardzo kochali. Od tego czasu mieszkała ciągle przy nich, i za ich staraniem odebrała wyższe wykształcenie. Posiadała najlepszy charakter, a jej rozwinięty umysł, postawa i ułożenie, dozwalałyby jej zająć miejsce w wyższym świecie. Może też dla tego Róża nie znajdowała najmniejszej przyjemności w stosunkach z ludźmi zajmującymi takież same stanowisko jak państwo Turner. Nie pogardzała nimi, ale coś ją w nich raziło, i zdawało jej się że są czemś niższem od niej. Że zaś z drugiej strony dla osób zajmujących wyższe stanowisko, towarzystwo miss Turner nie było wcale pożądanem, i nie raczyłyby nawet postawić nogi na progu mieszkania kupca korzennego, przeto biedna dziewczyna prowadziła dość samotne życie. W szesnastym roku oddano ją na pensyę dla ukończenia nauki, w ośmnastym powróciła tak piękna i posiadająca tyle dystynkcyi, że nawet ktoś najwybredniejszy nie mógłby wymagać nic więcej.

Adam i Karol poznali ją gdy jeszcze była małą dziewczynką, i żyli z nią zawsze w tak przyjaznych stosunkach jak gdyby siostrą ich była.

Od pewnego dopiero czasu, mistress Andinian zwróciła na to uwagę że Adam i miss Turner widują się zbyt często; Adam zaczął nawet zaniedbywać swe ulubione kwiaty, aby mógł dłużej rozmawiać z Różą. Trudno byłoby powiedzieć że mistress Andinian obawiała się z tego powodu jakiegoś poważniejszego powikłania, a tem więcej przykrego dla niej następstwa; nie, Adam nie byłby zdolnym do podobnego szaleństwa, tylko drażniło ją to że jej ukochany syn mógł być tak płochym i lekkomyślnym, i może jakiś lekki niepokój zakradał się do jej serca, pomimo że nie zdawała sobie z tego sprawy. Co się tyczy Adama, zachował dla siebie swoje myśli i zamiary, i nie powiedział nikomu czy szuka tylko rozrywki w towarzystwie miss Turner, czy też pociąga go ku niej jakieś gorętsze uczucie. W każdym razie, jeźli miłość grała tam rzeczywiście jakąś rolę, to groziły jej ciężkie do przebycia burze.

Na kilka tygodni przed epoką od której zaczynamy nasze opowiadanie, młody student wydziału lekarskiego, Marcin Scott, zakochał się w miss Turner. Z początku poprzestawał na milczącym zachwycie, ale wkrótce zaczął objawiać go wyraźnie i głosno. Zbyt swobodny w obejściu,—stosownie do zwyczaju studentów medycyny, — pocałował Różę dwa razy. Miss Turner oburzona do najwyższego stopnia takiem postępowaniem, użaliła się na to przed Adamem; byłaby jednak chciała natychmiast cofnąć swe słowa, spojrzawszy na twarz jego tak strasznie zmienioną pod wpływem gniewu, że zadrżała z przerażenia.

Stali znów oboje przy żelaznej furtce zanim jeszcze ucichły kroki Hewitt'a.

Natura obdarzyła Różę Turner temi złoto-blond włosami, które teraz tak pragną posiadać modne panie, że aby nadać swoim podobny kolor, rujnują się na kosztowne i szkodliwe farby.

— Różo, muszę wiedzieć wszystko. Opowiedz mi wszystko, z najdrobniejszemi szczegółami.

— Ale niech mi pan wierzy, panie Andinian, że opowiedziałam już wszystko jak najwierniej.

Adam wpatrywał się w oczy Róży, jakby chciał z nich wyczytać prawdę. Znać było że mówi o tem niechętnie, jedynie aby mu się nie sprzeciwiać.

— Więc ten bałwan Scott był u was wczoraj?

— Tak, przyszedł około szóstej wieczorem. Podawano właśnie herbatę, ale zjadł jeszcze dwa wielkie *muffins*, odpowiedziała śmiejąc się miss Turner, która sądziła że tym sposobem ułagodzić prędzej gniew Adama.

Ale wesołość jej rozdrażniła go jeszcze więcej.

— Proszę cię, nie żartuj mówiąc o tak ważnej rzeczy. Wszak to po tej herbacie pozwolił sobie wyrządzić ci taką zniewagę? dodał zaciskając pięści.

— Tak, ciotka wyszła do kuchni, chcąc przyrządzić wujowi na kolacyę jakąś jego ulubioną potrawę; Marcin Scott zaczął mnie natychmiast dręczyć, powtarzanemi przy każdej sposobności wynurzeniami swych uczuć, i błagał abym czekała na niego dopóki nie zostanie doktorem...

— Cóż dalej? zawołał Adam niecierpliwie gdy się zatrzymała.

— Odpowiedziałam, że już raz dałam mu na to stanowczą odpowiedź, że nie powinien wracać powtórnie do tego przedmiotu, i że tem ciągłem narzucaniem się zraża mnie do siebie co raz więcej. Następnie usiadłam do fortepianu i zaczęłam grać i śpiewać, sądząc że będzie słuchał spokojnie aż do powrotu ciotki. Wtem usłyszałam kroki wuja wracającego do domu, i wstałam chcąc wyjść naprzeciwko niego, gdy Scott przytrzymał mnie za ręce i.. i pocałował.

Adam przygryzł sobie usta aż do krwi. Twarz jego wykrzywiona gniewem przybrała wyraz przerażający.

— Widzę że źle zrobiłam mówiąc to panu, dodała niespokojnie miss Turner.

— Słuchaj Różo, jeźli ten Scott poważy się raz jeszcze popełnić coś podobnego, zabiję go z pewnością.

— A! panie Andinian!

— Otrzyma ostrzeżenie. Uwiadomię go tak jasno i wyraźnie o moich zamiarach, że nie będzie mógł zachować co do nich najlżejszej wątpliwości. Jeźli nie będzie zważał na moje groźby, tem gorzej dla niego; zabiję go jak psa.

Ta groźba zdawała się miss Turner tak dziką i przesadzoną, że nie przywiązywała do niej wielkiego znaczenia, i nawet spojrzała na Armanda z wyrazem niedowierzania; ale w gruncie rada była zmienić jak najprędzej przedmiot rozmowy. Adam zapomniał tymczasem zupełnie o wezwaniu matki, i zaczął mówić o czem innem.

Mistress Andinian niecierpliwiła się co raz bardziej; nie lubiła aby obcy służący czekali na nią długo. Wyciągnęła już rękę do dzwonka chcąc przywołać Hewitt'a, gdy do pokoju wszedł Karol, trzymając w ręku zapieczętowane listy. Był to dwudziesto-siedmioletni mężczyzna, średniego wzrostu, nie zbyt silnie zbudowany, twarz jego bladą o pięknych i delikatnych rysach, zdobił nadzwyczaj pociągający wyraz. Zarówno jak brat jego, miał prześliczne siwe oczy, ale włosy jego nie były tak czarne i twarde jak włosy Adama. Karol Andinian był nietylko pięknym ale i miłym.

— Odnoszę listy na pocztę, rzekł; czy mama nie da mi jakiego polecenia do miasta?

Głos jego odpowiadał zupełnie powierzchowności; był słodki, czysty, dźwięczny; słysząc go każdy czuć musiał, że to głos człowieka któremu zaufać można. Przeciwnie, głos Adama był ostry, a prócz tego miał zwyczaj mówić zbyt głośno.

— Nie, nie potrzebuję nic z miasta, odpowiedziała mistress Andinian, a gdy to mówiła można się było przekonać że i ona także miała głos ostry, ale proszę cię, idź do ogrodu, i zapytaj brata dla czego każe mi tak długo czekać na siebie.

Karol wyszedł zostawiwszy listy na stole, i zastał brata rozmawiającego z miss Turner. Odwrócili się posłyszawszy jego kroki, oczekując na niego w milczeniu. Pierwszy raz jakieś nieokreślone podejrzenie zbudziło się w umyśle Karola.

— Jak się masz? Różo? zapytał zdejmując kapelusz z ceremonialną grzecznością, której nie zachowujemy w prawdziwie przyjacielskich stosunkach. Adamie, matka się niecierpliwi; utrzymuje że każesz jej czekać na siebie, i pragnie wiedzieć z jakiego powodu.

— Masz tobie! zapomniałem o tem zupełnie, zawołał Adam. A! niech licho porwie te ciernie.

Ukłuł się właśnie w palec, dotknąwszy się przypadkiem gałązki ciernia. Karol rozmawiał z miss Turner: nie potrzebował wracać natychmiast do domu.

— Proszę cię, Karolu, idź przeproś matkę za moje zapomnienie, i powiedz że natychmiast przyjdę.

— Wyborny sposób pozbycia się mej obecności, pomyślał Karol odchodząc. Do widzenia, Różo.

Ale zaledwie oddalił się od nich, twarz jego przybrała wyraz poważny.

— Nie mogę przypuszczać aby Adam miał zamiar ożenić się z nią, rzekł w myśli. Nie, to być nie może!

— No i cóż!... widziałeś Adama? zawołała mistres Andinian, jak tylko wszedł do pokoju.

— Tak, przyjdzie za chwilę.

— *Przyjdzie*! rzekła przygryzając usta; *powinien był już przyjść*. Czy jest sam?

— Nie, rozmawia z miss Turner.

— Co za niedorzeczność, tracić czas na pustej gadaninie z jakąś tam dziewczyną!

— Zgadzam się zupełnie że podobne postępowanie jest zupełnie niedorzeczne, odezwał się nierozważnie Karol. Ona!... miss Turner!... nie, do-

prawdy, nie jest to żona dla człowieka mającego zająć podobne jak Adam stanowisko.

Matka rzuciła na niego piorunujące spojrzenie.

— Jaka żona?... jakie stanowisko?

— Stanowisko należne żonie lorda Andinian.

Karol nie raz już rozgniewał matkę od dnia w którym ujrzał światło dzienne, nigdy jednak do tego stopnia jak w obecnej chwili. Twarz jej pokryła się śmiertelną bladością, porwała pierwszy przedmiot jaki jej się nasunął,—był to kałamarz na srebrnej podstawie, stojący tam jedynie dla ozdoby,—i podniosła go w górę jakby miała zamiar rozbić go o głowę syna.

— Jak śmiesz znieważać brata podobnem przypuszczeniem, i to jeszcze w mojej obecności! zawołała drżąc z gniewu.

— Przepraszam, nie zastanowiłem się...

Adam wszedł gdy właśnie stawiała napowrót kałamarz, i spostrzegł zaraz że zaszło coś niezwykłego. Mistress Andinian pokazała mu bilecik i zapytała czy przyjmuje zaproszenie, a odebrawszy potwierdzającą odpowiedź, pośpieszyła powtórzyć ją służącej.

— Co się tu stało, Karolu?

— Matka była rozdrażniona tem że zamiast pośpieszyć na jej wezwanie, rozmawiałeś tak długo z Różą Turner, i powiedziała że popełniasz niedorzeczność tracąc czas na czczej z nią rozmowie. Wtenczas ściągnąłem jej gniew na siebie, odpowiadając bez żadnej złej myśli, że i ja także uważam to za niedorzeczność, ponieważ miss Turner nie jest stworzoną na lady Andinian.

— Zajmij się lepiej własnemi sprawami, rzekł Adam opryskliwie, i nie zapominaj że i ty także nie jesteś stworzonym na mego mentora.

Karol spojrzał na niego z pełnym słodyczy uśmiechem i odpowiedział swym dźwięcznym i szczerym głosem:

— Wiesz dobrze, Adamie, że nie chciałbym nigdy mieszać się w twoje sprawy, ani też sprzeciwiać się twoim uczuciom. Nikt na świecie nie pragnie szczerzej twojego szczęścia i spokoju.

Adam wiedział o tem; dla tego też ręce ich spotkały się w serdecznym uścisku. Mało jest braci kochających się tak szczerze jak Adam i Karol Andinian.

Patrząc na nich stojących tak przy sobie, trzeba było przyznać że kapitan nie przesadził bynajmniej, gdy mówiąc o nich z bratem, nazwał ich pięknymi; jednak dobroć i delikatność uczuć malująca się w twarzy Karola, dawała mu pierwszeństwo nad Adamem.

II.

Łucya Cleeve.

W pogodny wieczór majowy, oświetlony łagodnym blaskiem księżyca, przechadzały się wolnym krokiem po ogrodzie dwie osoby, w których zaraz na pierwszy rzut oka łatwo było poznać parę zakochanych. Kochali się rzeczywiście wszystkiemi siłami duszy i serca, miłością najczystszą, najgorętszą jaka istnieć może, a jednak żadne wyznanie jeszcze z ust ich nie wyszło.

Jak się to nie raz zdarza, i w tym razie miłość zbliżała się cicho, ale pewnym i szybkim krokiem. Ze świadomością rzeczy nie weszliby na tę drogę; oboje byli o tyle rozważni że cofnęliby się z pewnością zanim jeszcze niebezpieczeństwo stało się nieuniknionem. On, żołnierz mogący rachować zaledwie kiedyś w przyszłości na jakieś wyższe stanowisko, i nie posiadający majątku, byłby się zastanowił że nie może być uważanym za odpowiednią partyę dla córki pułkownika i pułkownikowej Cleeve, pochodzących ze znakomitej rodziny i pyszniących się swem urodzeniem; ona zaś, Łucya Cleewe wiedziała że pomimo wspaniałego drzewa genealogicznego, zapuszczającego głęboko w przeszłość korzenie, nie miała prawie posagu, i że przyszły jej mąż musi być szczedrzej uposażonym w dobra tego świata niż porucznik Andinian, i... tak, i mieć pokaźniejszy szereg przodków. Ale czy to miłość chce zważać na podobne rzeczy?... wśliznęła się niespostrzeżenie do ich serc, a teraz już czuli że pozostanie na zawsze, i cenili ją wyżej nad bogactwa i rodowe splendory.

— Mówiłaś, Łucyo, że miss Blake wróciła?

Słowa te wymówione przez pana Andinian, przerwały jedną z tych chwil rozkosznego milczenia, które dawały im przedsmak rajskiego szczęścia.

— Tak, dziś właśnie przyjechała; ale zaledwie ją poznałam. Zmieniła się bardzo, tak z powodu że teraz zupełnie inaczej układa włosy, jak...

Zatrzymała się, gdyż chciała powiedzieć:

— Jak że je ufarbowała na inny kolor.

Ale przyszło jej na myśl że nie byłoby szlachetnie zwracać na to uwagę nawet kogoś takiego, któremu chętnie powierzyłaby wszystkie swe myśli.

Wychowana w najlepszych i najwznioślejszych zasadach, do których zresztą usposobiła ją sama natura, nie mogła znieść żadnego fałszu, nawet tam gdzie go upoważniał zwyczaj lub moda. Że jednak była jednocześnie obdarzona wielką słodyczą charakteru, wystrzegała się starannie wszelkich uwag mogących komuś zaszkodzić; dla tego też i teraz dodała z lekkim uśmiechem:

— Teresa zachwycona Rzymem, a zwłaszcza kardynałami, ponieważ jeden z nich rozmawiał z nią bardzo uprzejmie.

— Ale! jakże będzie z jutrzejszym piknikiem... Czy pozwolą ci być na nim? zapytał Karol.

— O! tak, skoro Teresa pójdzie ze mną. Matka moja nie lubi abym bywała gdzieś sama, a dla niej powietrze jeszcze za chłodne aby mi mogła towarzyszyć. Czy tam będziesz, Karolu? dodała nieśmiało.

— Będę z pewnością.

Znów nastało milczenie. Nadzieja przepędzenia całego dnia razem, wśród pól i lasów, przyśpieszyła bicie ich serc, a głos stłumiła.

Pułk, w którym służył porucznik Andinian, stał już od roku w Winchester. Karol przywiózł tam list polecający do pana Blake, pastora—bardzo zacnego starca—mieszkającego na probostwie, tuż za miastem. Państwo Blake polubili bardzo młodego porucznika i okazywali mu wiele życzliwości. W owym czasie mieszkała przy nich ich krewna, miss Blake; była sierotą i posiadała jakiś mająteczek przynoszący jej od dwustu do trzystu funtów sterlingów rocznie. Bawiła naprzemian to u nich, to u państwa Cleeve, którzy byli spokrewnieni tak z nią jak z panem Blake.

Autorowie zmuszeni są zdradzać tajemnice, niezawsze korzystne dla tych których dotyczą. W obecnym razie i my także jesteśmy zmuszeni wyjawić, że jedynem i gorącem, choć starannie ukrywanem pragnieniem Teresy Blake, dla którego urzeczywistnienia nie szczędziła trudów, (ma się rozumieć w granicach dozwolonych dobrze wychowanej osobie,) było pójść za mąż, i zrobić dobrą partyę. Gdyby nam było wolno badać tajemnice serc panieńskich w ogóle, znaleźlibyśmy, zwłaszcza w tych których właścicielki nie są już pierwszej młodości, takież same życzenia i chęci. Dotychczas nie ziściły się jeszcze marzenia miss Blake; nie była tak nierozważną aby pójść za mąż byle pójść, a dotąd nie zdarzyła jej się stosowna partya.

Pomimo że miss Blake była przekonaną iż jest osobą bardzo rozsądną i pełną zdrowego rozsądku, nie przeszkodziło jej to przecież nabić sobie tem głowę, iż jedynym celem, dla którego młody i piękny porucznik bywał tak często na probostwie, by ło... podbicie jej serca. Na mocy tego przekonania zakochała się w nim szalenie. Grzeczności Karola Andinian, zresztą bardzo zwyczajne, jakie spotykają zwykle, ze strony mężczyzn, jedyną młodą osobę znajdującą się w domu, wydawały jej się jawnemi oznakami miłości. Teresa używała i nadużywała tego co nazywają *flirtation*, ale prawdziwe uczucie było jej dotąd całkiem nieznane. Nie zastanawiając się wcale czy wiek ich byłby odpowiednim lub nie, oczekiwała tylko chwili w której piękny porucznik oświadczy się o nią. Obrachowała, że ich osobiste dochody, z dodatkiem jego płacy, wystarczą na wygodne utrzymanie; dopóki nie poznała Karola, byłaby odrzuciła z pewnością myśl połączenia się z człowiekiem nie posiadającym co najmniej tysiąca funtów rocznie; ale wiadomo przecie, że miłość zwalcza wszelkie przeszkody.

Może też Karol Andinian przyczynił się czem do tego? Bynajmniej; nie więcej zwracał uwagi na uczucia Teresy Blake, jak na przychylność okazywaną mu przez sędziwą mistress Blake. Jeżeli miss Teresa zapomniała wiele ma lat, to on wiedział o nich doskonale, i zarówno nie przyszłoby mu nigdy na myśl starać się o nią jak zakochać się w własnej matce. Mężczyznie liczącemu dwadzieścia sześć lat życia, trzydziesto-czteroletnia kobieta wydaje się starą.

Wśród tego ciągłego qui pro quo, — gdy jedna strona karmiła się co raz wzrastającemi nadziejami, druga zaś żyła spokojnie nic o tem nie wiedząc, upłynęło lato i większa część jesieni. Miss Blake wyjechała przy końcu jesieni na stały ląd, w towarzystwie udającej się tam rodziny z którą żyła w przyjaźni. Głównym celem tej podróży, było poznanie Paryża i Rzymu, lecz gdyby nie to że owa podróż była już dawno postanowioną, i że jej się trudno było wycofać, nigdy nie opuściłaby miejsca, w którem przebywał pan Andinian.

Wkrótce po jej wyjeździe, państwo Cleewe wrócili do Winchester, po długiej nieobecności. Mieszkali za miastem, w pobliżu probostwa pana Blake. Łucya bawiła co dzień parę godzin na probostwie, to też głównie dzięki gorliwym staraniom sędziwego pastora i zacnej jego małżonki, umysł jej i serce rozwinęły się tak pięknie. Zaraz przy pierwszej po powrocie bytności, zastała na plebanii Karola, i jeżeli nie pokochali się od pierwszego wejrzenia, to nie wiele do tego brakowało; pociągała ich ku sobie ta jakaś nieprzeparta sympatya, której zarówno nie podobna się oprzéć jak wytłomaczyć lub zrozumiéć. Po kilku widzeniach pokochali się już gorąco i na zawsze. Jakże odtąd błogie, jak urocze były ich marzenia!

Szli obok siebie przez ogród należący do probostwa, oblani srebrzystem światłem księżyca. Pana Blake wezwano do chorego i odprowadzili go do bramy; mistress Blake siedziała spokojnie nie domyślając się niczego. Łucya, pomimo swych dwudziestu lat, wydawała jej się jeszcze małą dziewczynką, a zresztą, ludzie starzy zapominają często o słodkich szałach swej młodości, którą pozostawili już tak daleko za sobą, i nie przychodzi im na myśl że młodzi, na których teraz patrzą, mogą ulegać im także.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 9.

(Dokończenie.)

Draperya przerzucona u dołu, z jednego boku przytrzymana marszczonem przepięciem 17 cent. długiem a 4 szerokiem, z tyłu zaś związana w dużą kokardę. Przybranie sukienki stanowi haft kolorowy maszynowy, na tle wełnianem, 6 cent. szeroki.

N. 6—7. Serwetka na mały stoliczek.

Tło liczące 26 cent. w kwadrat jest z mocnego białego płótna, haft zaś odznacza się ładnym deseniem i jest łatwy i pośpieszny w wykonaniu. Ryc. 6 załącza w naturalnej wielkości czwartą część haftu z dokładnem wskazaniem użytych ściegów, jako to: cierniowego, krzyżowanego, luźnego i supełków, nićmi białemi świecącemi, kontury zaś wyszyte są bawełną ponsową ściegiem łańcuszkowym. Brzegi oszyte niciana koronką 5 cent. szeroką.

N. 8—9. Suknia balowa z gorsecikowym stanikiem.

Na różowej atłasowej spódnicy z długim trenem, garnirowanej bufowaniem i plisowanemi falbanami, bardzo ładnie odbija lekko narzucona draperya z blado-różowego tiulu, haftowanego kolorowo. Na spódnicy falbany atłasowe po 15 cent. szerokie, przysłonięte są bufami tiulowemi po 20 cent. szerokiemi. Stanik gorsecikowy z różowego atłasu sznurowany z tyłu, dopełniony jest marszczoną bluzką tiulową. Przypięcie kwiatów przy staniku i tunice wskazują ryc. 8—9.

N. 10—11. Suknia balowa z bawetowym stanikiem.

Odrobiona jest z białego tarlatanu, białego atłasu i gazy w kratkę ze świecących srebrnych nitek, na spódnicy z grubego tiulu. Przedni bryt zagarnirowany naprzemian siedmioma koronkowemi falbanami po 8 c. szerokości i tarlatanowemi bufami po 13 c. szerokiemi; u dołu sukni pod koronką dany wolant atłasowy, 8 cent. szeroki, ułożony w kontrafałdy. Z prawego boku jak to widzimy na ryc. 10 dane upięcie à panier z białego atłasu 54 cent. długie, dopełnione u dołu draperyą ze srebrnej gazy, upiętą z trójkątnego kawałka liczącego z boków 82 cent. długości. Z lewej strony dany bryt tarlatanowy lekko namarszczony z boku przypięty girlandą z róż, zakończoną na trenie sukni. Tylne upięcie stanowi bryt tarlatanowy ogarnirowany koronką i bryt gazy 58 c. szeroki, przerzucony z prawego boku sukni skośnie ku górze aż na baskinę stanika, zdobnego bertą z gazy, koronki i kwiatow.

N. 14—15. Ubranie do sukni balowej złożone z kwiatów i węża pluszowego.

Paryżankom kapryśnym w kwestyach mody nie wystarczają już same kwiaty mimo ich wielkich rozmiarów, do toalet balowych zaczęły więc łączyć je z różnemi zwierzętami, przeważnie zaś z jaszczurkami i wężami, odrobionemi z miękkiego świecącego jedwabnego pluszu. Ryc. 14—15 przedstawia olbrzymiego węża 2—4 metrów długości z cieniowanego pluszu, z błyszczącemi oczami, na którym przerzucone bukiety z wielkich białych i ciemno-różowych astrów atłasowych, z liśćmi wiosenno zielonemi i jesiennej barwy.

N. 16—18. Biżuterye modne.

Broszka ryc. 16 wykończona jest ze złota, z muszlą ze srebra oksydowanego; wschodnie granaty i prawdziwe perły, stanowią ozdoby i breloczki przy złotym łańcuszku. Na ryc. 17 broszka z oksydowanego srebra ma na środku kameę oprawną w złoto czerwonawego odcieniu. Naszyjnik weneckiej roboty, składa się z rozet filigranowych łączonych podwójnym łańcuszkiem.

N. 19—26. Kostiumy na bal maskowy.

N. 19—20. Kostium Dyjanny i Neptuna dla dzieci.

N. 21. Kostium fryzyjskiej wieśniaczki.

Na ryc. 21 widzimy ubranie świąteczne zamożnej wieśniaczki, złożone z wełnianej spódnicy w drobne paski, stanika z materyału w duży deseń, fartuszka z haftem kolorowym i frendzlą, związanego wstążką, na której zawieszona aksamitna kieszonka z metalowem okuciem. Formę baskiny stanika krótko podciętej z przodu, widzimy na ryc. 21; głęboki kwadratowy wykrój pod szyją, dopełniony cieniutką batystową chusteczką; przy krótkich rękawach dodane bufki batystowe. Na szyi piękny szeroki naszyjnik. Oryginalne ubranie głowy składa się z gładkiego batystowego czepeczka, zupełnie przysłaniającego włosy i z olbrzymich rozmiarów płaskiego słomkowego kapelusza z szeroką wstążką.

N. 22. Kostium damy weneckiej z XVI wieku.

Zwierzchnia suknia aksamitna oszyta z brzegów szerokim złotym galonem, zręcznie podpięta sznurem od wachlarza, odsłania z przodu jasną suknię z jedwabnej brokatelli lub aksamitu jasnego koloru. Stanik bawetowy sznurowany z tyłu, ma plastron odpowiedni do przodu sukni, a przy głębokim kwadratowym wykroju dodany wielki stojący koronkowy kołnierz, podtrzymany w górę na drucikach; rękawy złożone z dwóch buf, mankiety koronkowe. Na głowie i na szyi perły; wachlarz z pawich piór.



N. 1. Ubranie balowe z bawetowym stanikiem. Krój stanika na arkuszu N. II. fig. 1—4.

N. 2. Ubranie wieczorowe z vêtement.

N. 3. Sukienka z gorsecikowym stanikiem, dla młodej panienki. Przód sukni patrz ryc. 33 w N-rze 11.

N. 23. Kostium fantazyjny „Hawanna".

Odpowiedni szczególniej dla brunetki, składa się ze spódniczki fałdowanej z jasno-bronzowej materyi jedwabnej, naśladującej paczkę cygar; każda fałda odznaczająca się na spódniczce, spiczasto ścięta u góry, poddana jest bardzo sztywną podszewką i przyszyta oddzielnie; zakończenie górne stanowią haftowane liście tytoniu. Stanik bawetowy z ponsowego atłasu, ma bertę z popielatej krepy, przepiętą na ramionach skrzyżowanemi cygarami. Włosy oryginalnie ułożone, nakształt zwoju tytoniu. Na szyi okręcony długi sznur bursztynów, z fajeczką z pianki morskiej zamiast medalionu. Spódniczka przewiązana dwa razy szeroką żółtą wstążką; welon taki jak berta fantastycznie przypięty do włosów; rękawiczki bronzowe i takież pantofelki.

N. 24. Kostium fantyzyjny „Nereida".

Krótka sukienka formą princesse z blado-zielonego atłasu, przysłonięta spódniczką ze srebrnej gazy, naszytej muszelkami, perłami i koralami. Krótka draperya przerzucona u dołu stanika, zakończona jest rzędem dużych płaskich muszli, z pod których spada długa mieniąca się trawa morska. Stanik przysznurowany jasno-ponsowym atłasowym gorsecikiem. Wykrój górny ogarnirowany crêpe lisse i oszyty muszlami. Włosy rozpuszczone przytrzymane girlandą z traw morskich i kwiatów, z pod której spada długi welon z gazy srebrnej. Na rękach i na szyi perły i korale; pantofelki zielone atłasowe zdobne muszlami.

N. 25—26. Kostium dalmacki i wołoski.

Całość ubrania patrz na ryc. 43 i 44 w N-rze 8.

N. 27. Ubranie ślubne.

Suknia z satin merveilleux z długim trenem, ma tylne bryty lekko podpięte w bufę, z przodu zaś u dołu nad falbaną i tiulową riuszą idącą w około, dana szeroka falbana z drobniutkiem przemarszczeniem, a nad nią fartuszkowa tunika z przemarszczeniem coulissé, oddzielonem koronką 20 cent. szeroką. Przody stanika i mankiety są również przemarszczone. Kreza pod szyją i riusza u dołu sukni ozdobiona jest gałązkami myrtowemi.

N. 29—35. Chusteczki batystowe z haftem point d'armes i płaskim.

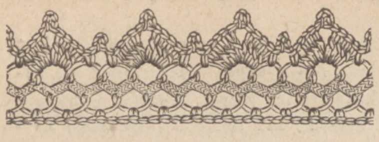
Obie chusteczki liczą po 45 cent. w kwadrat i mają obręby po 4 cent. szerokie przyszyte kratką ażurową. Chusteczka ryc. 34 ma cyfry kolorowe odrobione podług ryc. 33, podającej litery w naturalnej wielkości; jaskółka jest niebieska z białemi piersiami, litery zaś kolorem granatowym, żółtym i ponsowym. Na ryc. 35 widzimy chusteczkę z literami z kwadracików wypukłych i haftu point d'armes.

N. 36. Szlak z podkładaniem.

Ten rodzaj roboty już opisywaliśmy w roku przeszłym, ponieważ jest łatwą i efektowną więc dajemy nowy jej wzór. Na tle z ciemnego pluszu położony jest pas tiulowy (tiul jak na firanki koronkowe), z deseniem zupełnie pokrytym ściegiem luźnym, kolorową filozelą. Łodyżki dane ściegiem krzyżowanym; kontury ściegiem sznureczkowym lub złotym sznureczkiem.

N. 39—40. Poduszka do kanapy.

Ma formę podłużną jaka obecnie jest najmodniejszą (54 cent. długości a 35 szerokości); środek atłasowy z lekkim haftem złotym, otoczony jest szlakiem pluszowym $7\frac{1}{2}$ cent. szerokim tego co atłas koloru. Ryc. 40 daje w naturalnej wielkości czwartą część deseniu wraz z dokładnem wskazaniem różnych użytych ściegów, zapełniających środki figur. Kontury odznaczone są nitką złotą i ściegiem sznureczkowym.



N. 4. Ząbki szydełkowe przy tasiemeczce.

Skończoną poduszkę otacza gruby sznur jedwabny lub szenilowy.

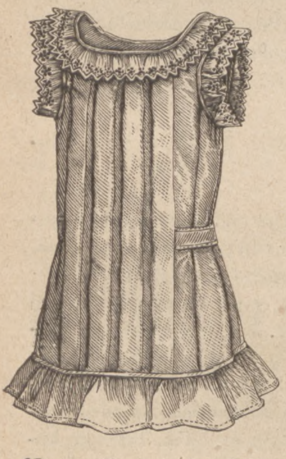
Opis do N-ru 10.

N. 1 i ryc. 32 w N. 11. Ubranie balowe ze stanikiem wyciętym bawetowym. Krój N. I, fig. 1—4.

Podług fig. 1—4 przykrawa się gładką podszewkę stanika, zapinanego z tyłu na kryte haftki; wierzch zaś zarówno jak i spódnica układa się z zeszywanych wzdłuż, 4 cent. szerokich wstawek z walencienki i równie szerokiej wstążki w atłasie blado-żółtego koloru. Krótka spódnica ogarnirowana jest plisowaniem i tiulową riuszą à la vieille, przepinaną kwiatami. Draperyę z jedwabnej gazy upiąć można odmiennie z każdego boku, jak na ryc. 32 w N. 11, i zakończyć zręcznie przewiązaną szarfą z podwójnie złożonej gazy, albo też sposobem wskazanym na ryc. 1, ułożyć ją bez szarfy z obydwóch stron jednakowo, tak iż na brzeg stanika zachodzi, a brzegi przewiązać sposobem wskazanym z wierzchu na draperyi tylnej, przypiętej kokardą z długiemi końcami. Dolny brzeg draperyi zachodzi z przodu na girlandę z kwiatów, przypiętą na sukni, takież kwiaty we włosach i na bercie.

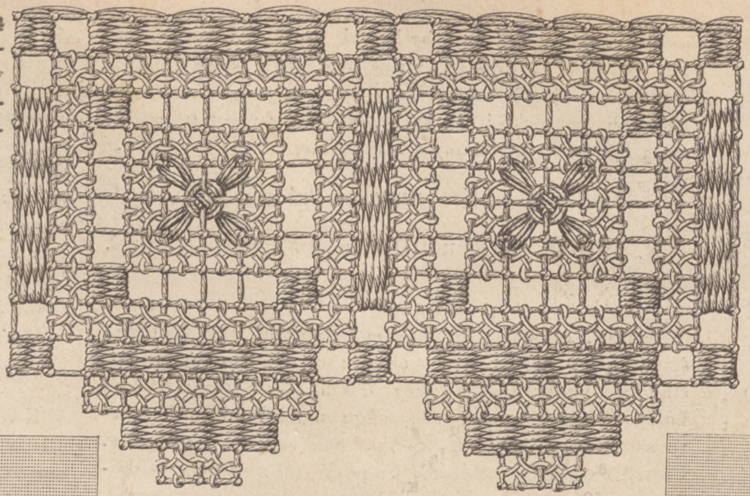
N. 2. Ubranie wieczorowe z vêtement.

Do sukni z białej surah cała spódnica ułożona była w drobne fałdy, raz przez środek długości poprzecznie przestębnowane; u dołu naszyta dwa razy, 10 c. szeroka lekko nadmarszczona

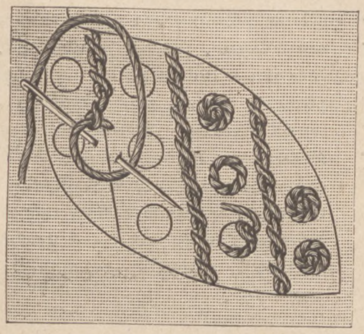


N. 10. Fartuszek z fałdami dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. V, fig. 17.

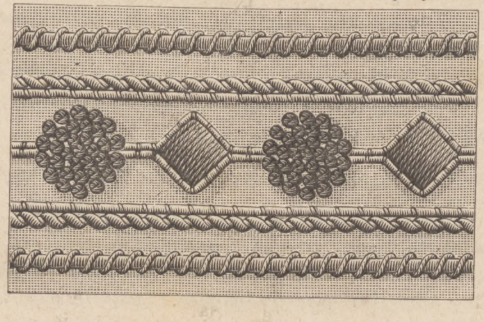
koronka. Z tyłu zapinane krótko podpięte vêtement, oszyte także koronką; kwadratowy wykrój stanika i rękawy do łokcia zdobi obłożenie z ciemno szafirowego aksamitu i koronka. Na ramieniu bukiecik z kwiatow.



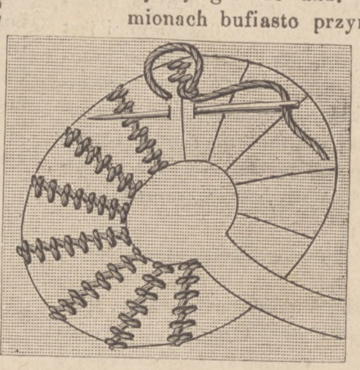
N. 12. Koronka siatkowa do serwety ryc. 18.



N. 14. Wykonanie ściegu do wyszycia serwety r. 18.



N. 13. Szlaczek do ryc. 18.



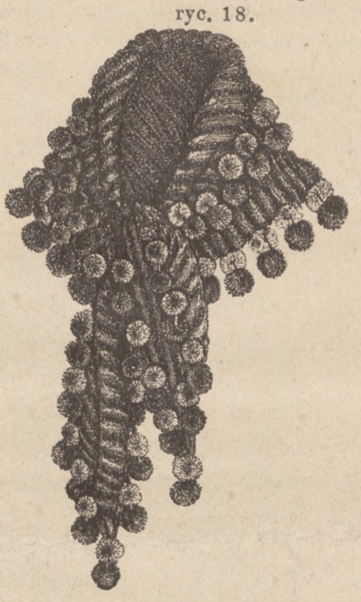
N. 15. Wyszycie ściegu do ryc. 18.



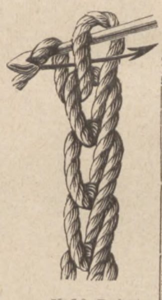
N. 6. Chusteczka koronkowa.



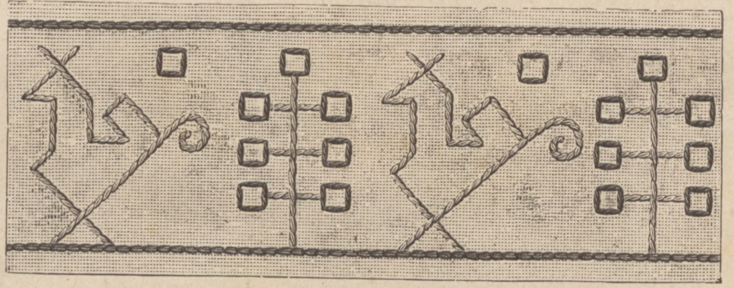
N. 8. Poduszka do kanapy. Wyszycie na płótnie. Patrz ryc. 9 i fig. 34 na arkuszu.



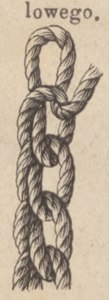
N. 7. Chusteczka z materyału sznelowego.



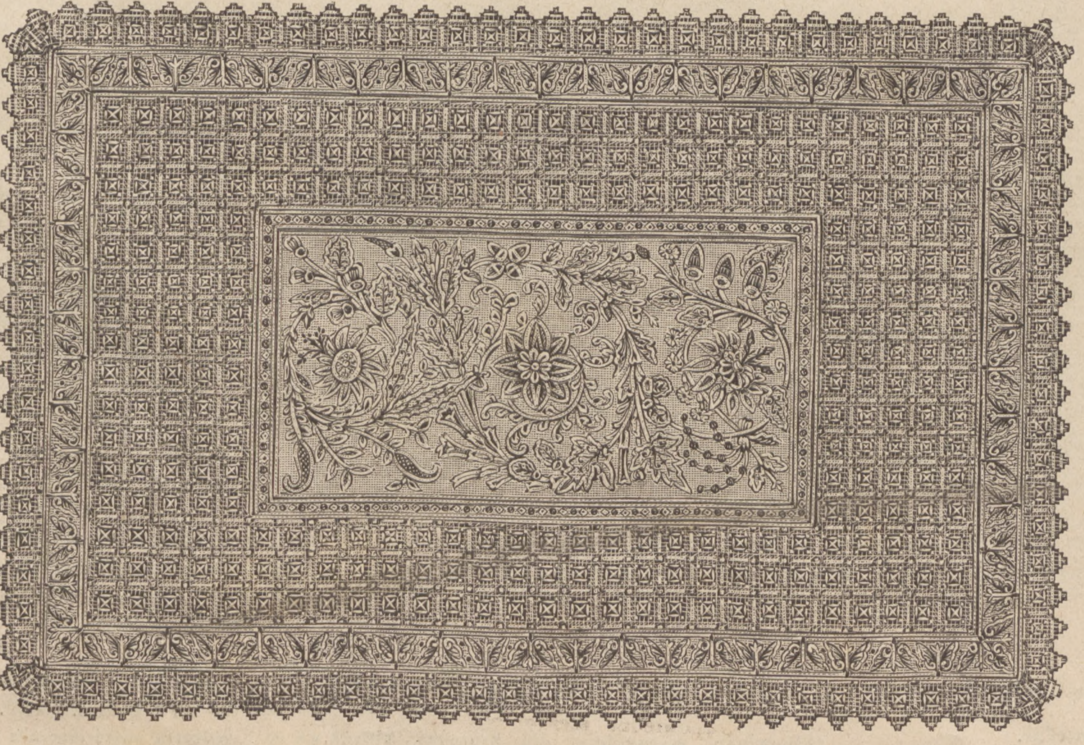
N. 16. Robota sznureczka szydełkowe- do ryc. 18. Strona prawa.



N. 9. Szlaczek do ryc. 8, wyszyty na płótnie.

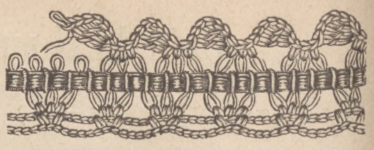


N. 17. Lewa strona sznureczka szydełkowego ryc. 16.



N. 18. Serwetka z siatką gipiurową, haftem różnemi rodzajami ściegów „Parva in magnis" i naszyciem sznureczka. Patrz ryc. 12—17 i fig 31—32.

N. 3. Suknia z gorsecikowym stanikiem dla niedorosłej panienki.



N. 5. Ząbki szydełkowe przy mignardisse.

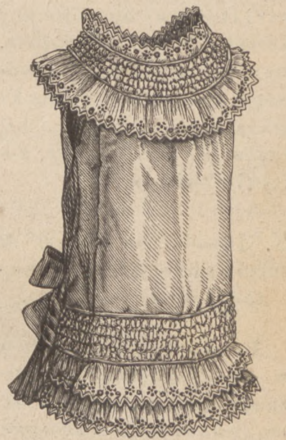
Do spódniczki całej w szerokie fałdy ułożonej, dodany stanik bez baskiny z tyłu głęboko zachodzący, z przodu naśladujący wycięty szeroko sznurowany gorsecik, pod sznurowanie daje się plastron a w górze stanik dopełnia koszulka przymarszczona, sutą fryzką ogarnirowana. Półdługie rękawy są na ramionach bufiasto przymarszczone; szarfa z długiemi końcami, z tego co suknia materyału, związana z boku.

N. 6. Chusteczka koronkowa.

Fason chusteczki stanowi kawałek sztywnego tiulu, 4 cent. szeroki a 66 długi, któren w środku u dołu trzeba rozciągnąć a następnie pokryć fałdowanym muślinem indyjskim. Na kołnierzowej środkowej części naszywa się dwa razy w kontrafałdy ułożoną 9 cent. szeroką koronkę której na jedno naszycie potrzeba 68 cent.; w końcach 18 cent. długich stanowiących ranwersy, naszyte są sposobem wskazanym, dwa kawałki koronki 40 cent. długie. Dwa trójkąty z muślinu indyjskiego, z których jeden ma 16, drugi 9 cent. bocznej długości, oszyte fałdowaną koronką, w górze ściśle sfałdowane, stanowią żabot przyczepiony węzłem do chusteczki. Żółtawy kolor koronek i muślinu, jest ciągle jeszcze najmodniejszy.

N. 7. Chusteczka z tkaniny sznelowej.

Prześlicznie zwłaszcza przy oświetleniu wyglądała trójkątna chusteczka, zrobiona z przejrzystej jedwabnej materyi vieil-or, przerabianej w paski sznelowe koloru niebieskawo-pawiego;

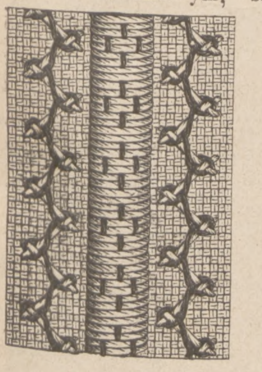


N. 11. Fartuszek z przemarszczonym karczkiem dla małego dziecka. Kroj na arkuszu N. IV. fig. 15—16.

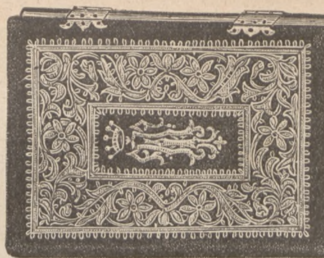
w koło oszyta dwoma rzędami pomponów viel-or i pawiego koloru, wiszących na jedwabnych pawio-niebieskawych nitkach. Brzeg górny skośny miał 126, a brzegi proste po 74 cent. długości.

N. 8—9. Powłoczka na małą poduszeczkę, haftowana na płótnie. Wązki szlaczek ryc. 9. Deseń środkowy na arkuszn z krojami fig. 34.

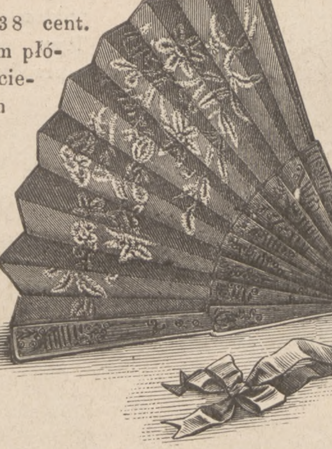
Haft na powłoczkę trzymającą 38 cent. w kwadrat, robiony był na domowem płótnie bawełną ponsową i niebieską, ściegiem łańcuszkowym, sznureczkowym i długim. Szlaczek podany w naturalnej wielkości na ryc. 9, robi się w odstępie $1\frac{1}{2}$ do 2 c. od brzega; w środkowym deseniu kontury oznaczyć ściegiem łańcuszkowym kolorem niebieskim, a środki zapełniać kolorem ponsowym i niebieskim, ściegami wskazanemi na fig. 34. Pasmanterya biała z niebieskiem i takież kwasty zdobią rogi; 3 cent. od brzega, od spodu poszeweczkę zapina się naguziki.



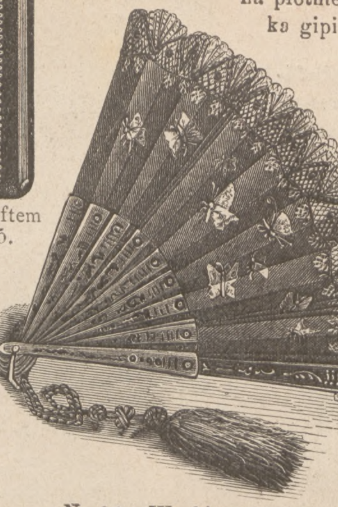
N. 24. Wyszycie na tle serwety do ryc. 14 w N-rze 11.



N. 19. Książeczka ozdobiona haftem weneckim. Deseń patrz fig. 35.



N. 20. Wachlarz ozdobiony haftem.



N. 21. Wachlarz zdobny motylami.



N. 25. Fartuszek z napierśnikiem.



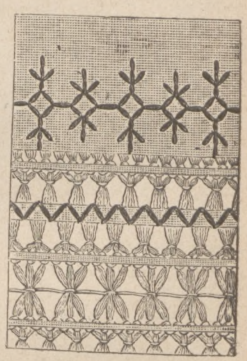
N. 22 Guzik metalowy.



N. 23. Guzik z konchy perłowej.

N. 12—18 i ryc. 32 w N. 11. Serweta na stół. Haft na płótnie sznureczkiem i rozmaitemi ściegami i siatka gipiurowa. Desenie na arkuszu z krojami N. I, i fig. 31—32.

Model serwety ozdobionej szeroką wstążką i koronką siatkową, robiony był na żółtawem płótnie sznureczkami nicianemi rozmaitej grubości i jedwabiem słomkowym różnemi rodzajami ściegów. Haft taki nazwany jest „parva in magnis". Większą połowę deseniu do haftu środkowego, dajemy na arkuszu dodatkowym pod N. I; mniejsza, od dołu niewykończona połowa podana jest na ryc. 32 w N. 11, a brakująca część na fig. 31: odpowiednie gwiazdki, krzyżyki i kropki wskazują jak te części mają być zestawione. Wązki szlaczek otaczający haft środkowy, w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 13 i wskazuje zarazem grubość czterech rodzajów sznureczka. Kontury i łodyżki deseniu wyszyte są sznureczkami, które wszędzie przyszywane są przez wierzch grubym jedwabiem paliowym; końce sznureczków przeciąga się na lewą stronę i mocno zaszywa. Wszelkie rodzaje ściegów użytych, do zapełnienia figur, wskazane są dokładnie na ryc. 32; z tych dwa tylko jako mniej znane wymagają objaśnienia, tych próbki znacznie powiększone przedstawiają ryc. 14 i 15; na ryc. 16 i 17 widzimy obie strony sznureczka robionego z najcieńszego sznureczka szydełkiem, któren na lewą stronę obrócony do wierzchu, odznacza środkowe kielichy dużych kwiatów. Wstawkę z siatki gipiurowej zrobioną na 30 oczek szerokości wyszywa się w kwadraty wskazane na koronce ryc. 12. Między wstawką i koronką wszyty szlak haftowany 7 cent. szeroki, do którego deseń z narożnikiem znajduje się na arkuszu z formami fig. 32. Brzegi szlaku oszyte trzema rzędami sznurka stopniowanej grubości, rodzaj haftu taki sam jak na tle.

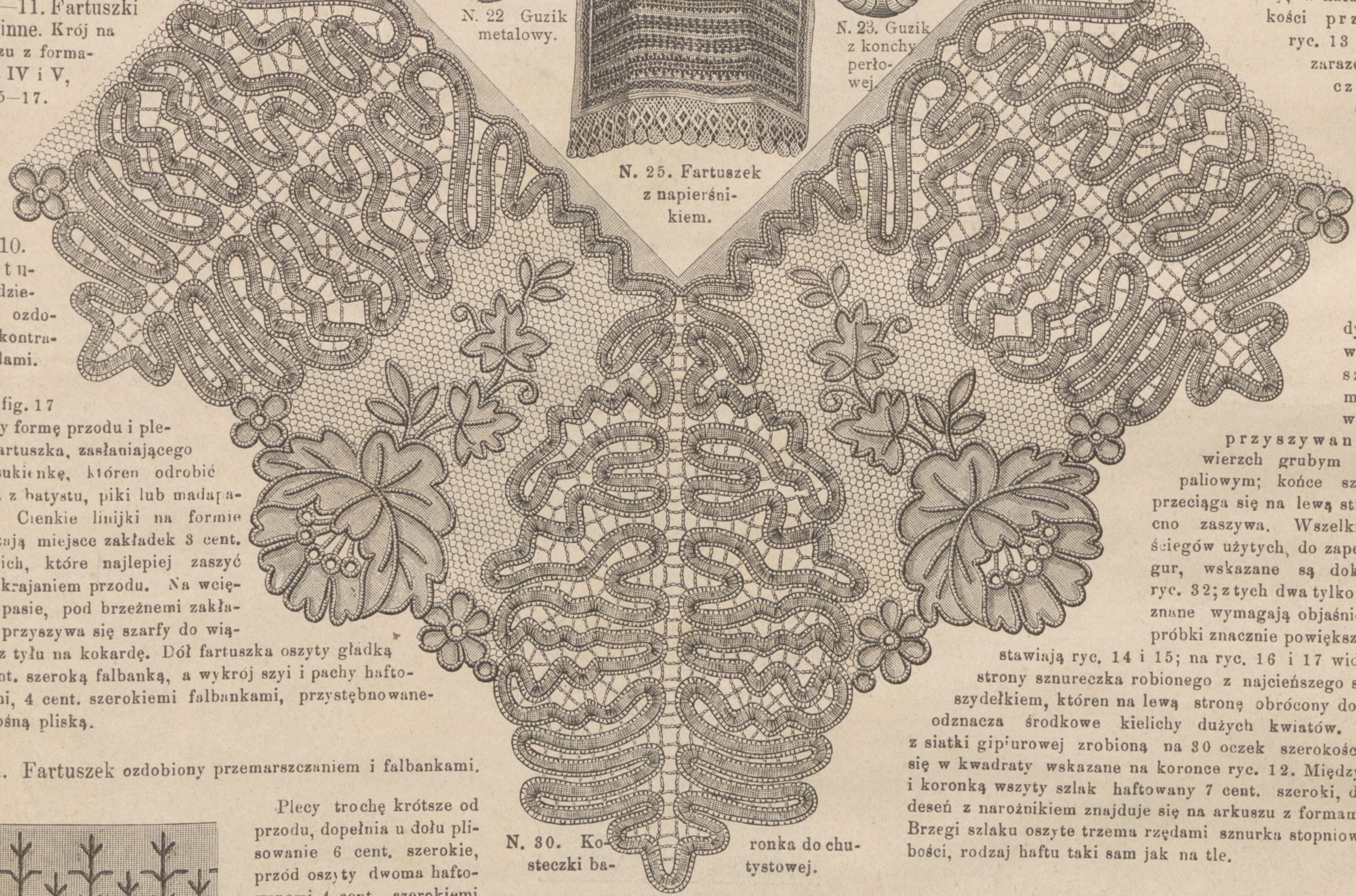


N. 26. Kratka ażurowa do ryc. 25.

N. 10—11. Fartuszki dziecinne. Krój na arkuszu z formami N. IV i V, fig. 15—17.

N. 10. Fartuszek dziecinny ozdobiony kontrafałdami.

Na fig. 17 dajemy formę przodu i pleców fartuszka, zasłaniającego całą sukienkę, któren odrobić można z batystu, piki lub madapalamu. Cienkie linijki na formie oznaczają miejsce zakładek 3 cent. szerokich, które najlepiej zaszyć przed krajaniem przodu. Na wcięciu w pasie, pod brzeżnemi zakładami, przyszywa się szarfy do wiązania z tyłu na kokardę. Dół fartuszka oszyty gładką 12 cent. szeroką falbanką, a wykrój szyi i pachy haftowanemi, 4 cent. szerokiemi falbankami, przystębnowanemi skośną pliską.



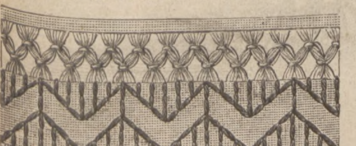
N. 30. Koronka do chusteczki batystowej.

N. 11. Fartuszek ozdobiony przemarszczaniem i falbankami.

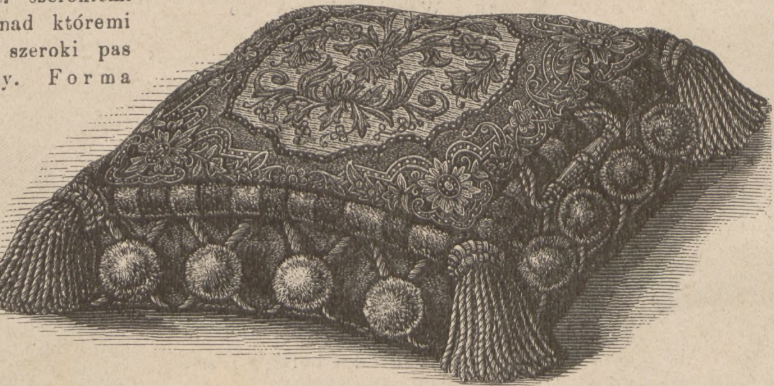
Plecy trochę krótsze od przodu, dopełnia u dołu plisowanie 6 cent. szerokie, przód oszyty dwoma haftowanemi 4 cent. szerokiemi falbankami, nad któremi dany 6 cent. szeroki pas przemarszczany. Forma karczka przemarszczanego, zakończonego falbankami, oznaczona jest linijką na f. 15 i 16. Szarfy 14 cent. szerokie a 48 długie, w górnym brzegu sfałdowane i między boczne szwy wszyte; przykrywają przyszycie plisowania do pleców.



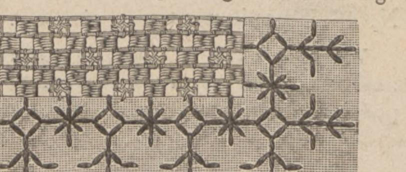
N. 27. Kratka ażurowa do r. 25.



N. 28. Kratka ażurowa do r. 25.



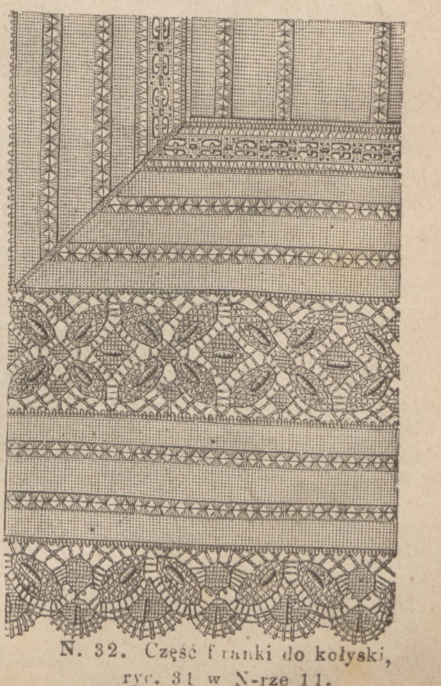
N. 31. Poduszka pod nogi. Deseń na fig. 33.



N. 29. Szlaczek dany na wywiniętych rogach fartuszka ryc. 25.

N. 25—29. Fartuszek z napierśnikiem.

Fartuszek z płótna domowego, ozdobiony kratkami ażurowemi, kolorowem wyszyciem i koronką robioną na klockach.



N. 32. Część firanki do kołyski, ryc. 31 w N-rze 11.

N. 40—41. Kapelusz ubrany kwiatami i chusteczka.

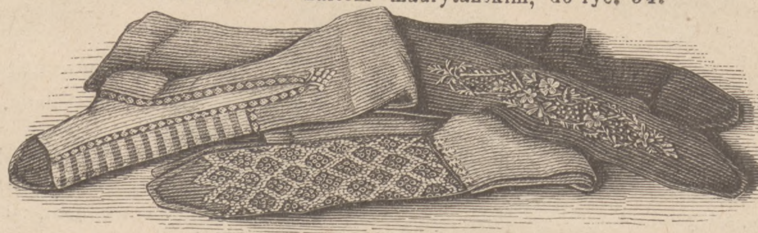
Wiosenny model kapelusza odrobiony był z filcu oliwkowo-zielonego, podszyty atłasem, a z wierzchu ozdobiony wielką kokardą takiego koloru. Z boku przypięty duży pęk róż herbacianych, a brzeg ronda naszyty riuszą z wstążki w atłasie tego co róże koloru. Trójkątną skośniej ukrojoną chusteczkę, mającą w bocznych brzegach po 80, w górnym 168 cent. długości a 50 środkowej szerokości, zaokrągla się w rogach, oszywa w koło koronką 8 cent. szeroką, składa podwójnie, zaszywa w środku pleców w fałdki do 19 cent. szerokości, licząc razem z koronką, a końce przednie przekłada w węzeł.



N. 34. Serweta ze szlakiem i haftem mauretańskim.



N. 33. Szlak z haftem mauretańskim, do ryc. 34.



N. 37—39. Pończochy jedwabne.



N. 35. Serweta ze szlakiem krzyżykowym. Patrz ryc. 36.

N. 42. Ubranie wizytowe formą princesse.

Chociaż panier więcej niż kiedykolwiek panuje, ponieważ jednak ten rodzaj upięcia nie dla wszystkich figur jest korzystny, podajemy więc ładny model sukni formą princesse. Plecy sukni zakończone były krótko upiętą draperyą, spadającą na przymarszczony z boków tylny bryt z trenem. Z pod przodów spiczasto zakończonych, skośnie do dołu rozchodzących się, widać ładny fartuszkowy garnirunek przodu spódnicy. Model odrobiony był z materyi w kolorze loutre, przybranej atłasem takiego samego koloru; przód zdobiły bufki, przemarszczanie i szeroka koronka.



N. 40—41. Kapelusz wiosenny i chusteczka.



N. 36. Wązki szlaczek do ryc. 35.



N. 42. Strojne ubranie wizytowe.

N. 46. Ubranie wizytowe z vêtement.

Vêtement z tyłu na guziczki zapinane, ma przód i boki suto w fałdy podpięte i z tylnym brytem złączone, ten ostatni jest z boków w bufy podpięty, a u dołu trenem zakończony. Poniżej zapięcia pleców na guziki, przypięta jest kokarda z długiemi puklami, z bardzo szerokiej wstążki lub mory. Tren oszyty dwoma plisowaniami i riuszą, a przód spódnicy o ile jest z pod vêtement widoczny, zdobią szerokie kontrafałdy, przedzielane pasami mory. U dołu na podpięciu vêtement dana duża kokarda morowa, której węzeł zdobią kwiaty.



N. 43. Strojna suknia na zebrania wieczorne.